

KSIĘGA VI

*Hoc erat in votis: modus agri non ita magnus,
Hortus ubi et tecto vicinus jugis aquae fons,
Et paullum sylvae super his foret¹⁾.*

(1736). Nie mogę dodać,

Auctius atque

Di melius fecere²⁾;

ale to mniejsza, nie trzeba mi było więcej, nie trzeba mi było nawet własności, wystarczyło mi prawo używania. Oddawna już wiedziałem i miałem świadomość, że posiadanie a korzystanie bywa często udziałem dwóch różnych osób, nawet jeśli zostawimy na stronie mężów i kochanków.

Tu zaczyna się krótkie szczęście mego życia; spokojne, ale szybko mknące chwile, które dały mi prawo powiedzenia, że żyłem. Chwile szacowne i tak oplakiwane! ach, powtórzcie dla mnie swój luby bieg, płyncie, jeśli możebna, wolniej w mem wspomnieniu, niż się to działo w istocie w waszem zbyt rączem pomykaniu! Jak uczynić, aby przedłużyć dowoli to tak wzruszające a proste opowiadanie, aby powtarzać wciąż te same rzeczy i tak samo nie znudzić czytelników powtarzając je, jak ja się nie nudziłem przeżywając

¹⁾ „Oto wszystko czego pragnąłem: niewielki kawał ziemi, ogród, źródło koło domu, a opodal mały laszek“.

²⁾ „Bogowie przewyższyli moje życzenia!“

je? Gdybyż choć wszystko rozgrywało się w faktach, w czynach, w słowach, mógłbym opisać je i oddać poniekąd: ale jak powiedzieć to, co nie było ani powiedziane, ani wykonane, ani pomyslane nawet, ale odczute, ale kosztowane, bez możliwości przytoczenia innego dokumentu mego szczęścia, jak samo to uczucie? Wstawiałem ze słońcem i byłem szczęśliwy; przechadzałem się i byłem szczęśliwy; rozstawałem się z nią i byłem szczęśliwy; przebiegałem lasy, pagórki, błądziłem po dolinach, czytałem, siedziałem bezczynny; pracowałem w ogrodzie, zrywałem owoce, pomagałem w gospodarstwie i szczęście szło za mną wszędzie; nie było ono w żadnej rzeczy niezbędnej do nazwania, było całe we mnie, nie opuszczało mnie ani na chwilę.

Nic z tego, co mi się zdarzyło w owej kochanej epoce, z tego com czynił, mówił i myślał przez cały czas jej trwania, nie uciekło z mej pamięci. To, co było przedtem i co nastąpiło, odbija się w niej jedynie z przerwami; wspomnienia moje są nierówne i mętne: ale ten czas przypominam sobie tak doskonale i żywo, jakgdyby trwał jeszcze. Wyobraźnia, która, w młodości mej, wyprzedzała mnie zawsze, a teraz ciągnie się za mną leniwo, oplaca swemi słodkimi przypomnieniami utracone na wieki nadzieje. Nie widzę już nic, cohy mnie kusiło na przyszłość; jedynie wspominki przeszłości mogą mnie rozgrzać jeszcze, i te tak żywe i szczere nawroty do epoki o której mówię, pozwalają mi niekiedy kosztować szczęścia mimo mych niedoli.

Ze wspomnień tych przytoczę jeden jedyny przykład, który pozwoli ocenić siłę ich i prawdę. Pierwszego dnia kiedy udaliśmy się na nocleg do Charmettes, mamusia odbywała drogę w lektyce, ja towarzyszyłem jej piechotą. Droga wznosiła się pod górę: mamusia była dosyć ciężka; toteż, bojąc się zmęczyć ludzi, wysiadła mnieju więcej w połowie drogi, aby resztę przebyć pieszo. Wysiadając, zobaczyła coś niebieskiego w żywopłocie i rzekła: „O, patrz, barwinek jeszcze kwitnie“. Nigdy nie widziałem barwinka, nie schyliłem się by mu się przyjrzeć, a mam wzrok zbyt krótki, aby,

lako aż do duszności i dawał się uczuć tylko wtedy, kiedy próbowałem biec albo podjąć jaki wysilek.

Ten wypadek, który miał zabić moje ciało, zabił jedynie moje namiętności; i codziennie błogosławię niebo za szczęśliwe skutki, jakie wywarł na mą duszę. Mogę powiedzieć, iż rozpocząłem żyć dopiero od tego czasu, kiedy się zacząłem uważać za umarłego. Oceniając wedle prawdziwej wartości rzeczy które miałem porzucić, zwróciłem umysł ku szlachetniejszym troskom, jakoby w przygotowaniu do tych, których mi będzie trzeba rychło dopełnić, a które dotąd zaniedbywałem. Często przekształcałem religję wedle własnych poglądów, ale nigdy nie byłem zupełnie bez religji; o tyle mniej przeto kosztowało mnie wrócić do tego przedmiotu, tak smutnego dla tylu ludzi, ale tak słodkiego dla kogoś, kto sobie zeń uczyni przedmiot pociechy i nadziei. Mamusia była mi w tej okoliczności pomocną bardziej niż wszyscy możebni teologowie.

Ona, która wszystko na świecie układała w system, nie omieszkała również ująć weń religji. Na system ten składały się idee bardzo różnorakie; jedne bardzo zdrowe, drugie dziwaczne; uczucia płynące z jej charakteru i przesady związane z wychowaniem. Naogół, ludzie wierzący tworzą sobie Boga na swoje podobieństwo; dobrzy czynią go dobrym, zli złym; bigoci, pełni nienawiści i zółci, widzą jedynie piekło, bo chcieliby skazać na nie świat cały; dusze kochające i łagodne nie wierzą w nie wcale. Nie mogę się nadziwić, że dobry Fenelon mówi o niem w swoim *Telemaku* tak, jakby w nie wierzył w istocie: ale mam nadzieję, że wówczas kłamał. Choćby się było niewiem jak prawdomównym, trzebaż przykłamać czasem, kiedy się jest biskupem. Mamusia nie kłamała ze mną; ta dusza bez zółci, która nie mogła sobie wyobrazić Boga mściwego i wiecznie zagniewanego, widziała łagodność i miłosierdzie tam, gdzie dewoci widzą jedynie sprawiedliwość i karę. Mówiła często, że nie byłoby ze strony Boga sprawiedliwością być sprawiedliwym względem nas; skoro nie dał nam sił, nie może od nas żądać więcej

niż sam udzielił. Szczególne jest, iż, nie wierząc w piekło, wierzyła, mimo to, w czyściec. To pochodziło stąd, iż nie wiedziała co począć z duszami złych, nie mogąc ani ich potępić ani pomieścić z dobrymi, póki ich nie dościgną; trzeba przyznać, że, tak na tym świecie jak na tamtym, źli przyczyniają zawsze niemało kłopotu.

Inny ciekawy rys. Łatwo dostrzec, iż system ten niszczy całą naukę o grzechu pierworodnym i o odkupieniu, że podkopuje całe urzędowe chrześcijaństwo i że, conajmniej, katolicyzm nie może się przy nim utrzymać. Mimo to, mamusia była dobrą katoliczką, lub głosiła się taką, a jestem pewny, że czyniła to w najlepszej wierze. Uważała tylko, że księża wykładają Pismo święte zbyt dosłownie i zbyt twardo. Twierdziła, iż wszystko co tam czytamy o mękach wiecznych, trzeba pojmować jedynie jako przenośnię. Śmierć Chrystusa uważała za przykład iście boskiego miłosierdzia, mającego nauczyć ludzi aby kochali Boga i kochali się między sobą. Słowem, wierna religii którą obrała, przyjmowała szczerze jej wyznanie wiary; ale, kiedy przychodziło do dyskusji poszczególnych artykułów, okazywało się, iż wierzy zupełnie inaczej niż Kościół, wciąż poddając się jego powadze. Miała w tem prostotę serca, szczerłość, wymowniejsze niż wszystkie komedje bigotów. Często wprawiała w zakłopotanie nawet spowiednika, nic bowiem przed nim nie tajiła: „Jestem dobrą katoliczką, mówiła, chcę nią być zawsze; uznaję całą potęgą duszy postanowienia świętej matki Kościoła. Nie jestem panią mej wiary, ale jestem panią mej woli. Poddaję ją bez zastrzeżeń i pragnę we wszystko wierzyć. Czego chcecie więcej?”

Gdyby nie istniała moralność chrześcijańska, sądzę, że byłaby i tak postępowała wedle niej; tak dobrze zgadzała się ona z jej charakterem. Robiła wszystko co nakazane, ale robiłaby tak samo, gdyby nie było nakazane. W rzeczach obojętnych, lubiła być posłuszną; gdyby jej nie było dozwolone, przepisane nawet jądanie z mięsem, byłaby pościła dla siebie, bez świadków, z ochoty nie z ostrożności. Ale cała ta moralność podlegała zasadom pana de Tavel, lub raczej mamusia siłiła się nie widzieć w tem żadnej

nie, którego nigdy nie zawiodłem. Pragnąłem aby mnie kochały na swobodzie.

Wspomniałem, że miałem z sobą książki. Korzystałem z nich, ale w sposób zmierzający raczej do tego aby zagwoździć głowę, niż aby ją rozjaśnić. Wskutek fałszywych pojęć o rzeczach, nabrałem przekonania, że, aby czytać z korzyścią jakąś książkę, trzeba posiadać wiadomości o wszystkim co w niej jest wspomniane; nieświadom jeszcze, że często sam autor ich nie posiadał i że je czerpał z innych książek w miarę jak mu były potrzebne. Wiedziony tą niedorzeczną myślą, zatrzymywałem się co chwilę, zmuszony biec niestannie od jednej książki do drugiej; niekiedy, nim doszedłem do dziesiątej stronicy, byłbym musiał wyczerpać całe biblioteki. Mimo to, upierałem się tak wytrwale przy tej obłędnej metodzie, że traciłem przy niej nieskończoną ilość czasu i omal sobie nie zmaciłem głowy do zupełnego zatumanienia. Szczęściem, spostrzegłem że idę fałszywą drogą, która mnie wciąga w olbrzymi labirynt, i wycofałem się zeń, nim jeszcze zdążyłem się zbłąkać całkowicie.

O ile ktoś ma choć trochę prawdziwego zamiłowania do nauk, pierwsza rzecz jaką czuje zagłębiając się w nich, to ich związek, który sprawia iż się przyciągają, wspomagają, objaśniają wzajem i że jedna nie może się obejść bez drugiej. Mimo iż umysł ludzki nie może wystarczyć na wszystkie i zawsze trzeba wybrać sobie jedną jako główną, to, o ile nie ma się jakiegoś pojęcia o innych, i w swojej nawet natrafi się nieraz na ciemność. Czulem, że moje poprzednie dążenia były dobre i użyteczne same w sobie, i że tylko metodę trzeba było zmienić. Wziąwszy zrazu *Encyklopedję*, posuwałem się, dzieląc ją na gałęzie. Spostrzegłem, iż trzeba robić wręcz przeciwnie, brać każdą gałąź z osobna i posuwać się w każdej oddzielnie aż do punktu w którym się jednoczą. W ten sposób, wróciłem do pospolitej syntezy, ale wróciłem jak człowiek który wie co robi. Rozmyślanie zastępowało mi w tem wiadomości, a proste zastanowienie pomagało znaleźć dobry kierunek. Czy mi była pisana śmierć czy życie, w obu wypadkach nie miałem czasu do

stracenia. Nie umieć nic w dwudziestym piątym niemal roku i chcieć się wszystkiego nauczyć, to wymagało tęgiego pośpiechu. Nie wiedząc w jakim punkcie los albo zgon mogą zatrzymać mój zapal, chciałem, na wszelki wypadek, nabyć pojęcia o każdej rzeczy, zarówno aby się rozeznąć w mych przyrodzonych zdolnościach, co aby osądzić samemu, która z nich najbardziej zasługuje na to by ją uprawiać.

W wykonaniu tego planu znalazłem inną korzyść, o której nie myślałem, mianowicie iż pozwala on dużo lepiej wyzyskać czas. Muszę widocznie nie być stworzony do nauki, długie bowiem przykładanie się do niej nuży mnie niezmiernie. Niepodobna mi przez pół godziny zajmować się z natężeniem jedną rzeczą, zwłaszcza gdy trzeba iść przytem za myślą cudzą; własnymi bowiem myślami zdarzyło mi się niekiedy zaprzętać i dłużej, nawet z dość pomyślnym rezultatem. Kiedy przez parę stron zagłębiam się w autorze, którego trzeba czytać z wielką ścisłością, uwaga opuszcza mnie i gubi się w chmurach. Jeśli się upieram, dochodzę do zupełnego wyczerpania, wszystko zaczyna mi tańczyć przed oczami, nie widzę nic. Ale, jeśli rozmaite przedmioty następują kolejno po sobie, nawet bez przerwy, jeden daje mi wypoczynek po drugim i łatwiej mogę dążyć za nimi myślą, nawet bez wypoczynku. Zastosowałem to spostrzeżenie w swoim planie nauk i przeplatałem je w taki sposób, że byłem zajęty cały dzień, a nie nużyłem się nigdy. Prawda, iż wiejskie i domowe zajęcia stanowiły zhawienne wytechnienie; ale w mym rosnącym zapale znalazłem wkrótce sposoby zdobycia jeszcze nieco czasu dla nauki i zajmowania się dwiema rzeczami naraz, nie myśląc o tem, iż każdej z osobna wychodzi to na szkodę.

Wszystkie te drobne szczegóły, które dla mnie mają tyle uroku, muszą zapewne często nużyć czytelnika; ale i tak postępuję w tem z powściągliwością, którejby nikt nie ocenił, gdybym sam nie pokwapil się zwrócić na nią uwagi. W tem miejscu naprzykład, przypominam sobie z rozkoszą najrozmaitsze próby, które czyniłem, aby rozdzielić czas w sposób pozwalający go wyzyskać z po-

lepszą, i jej to przypisuję postępy, jakie zdołałem uczynić mimo braku pojętności, nie ulega bowiem kwestji, że miałem jej do nauk bardzo mało. Otóż, postanowiłem sobie, czytając każdego autora, przyjmować wszystkie jego idee i iść za niemi, nie mieszając do nich swoich własnych ani też niczych, i nigdy nie dysputując. Powiedziałem sobie: Zaczniemy od tego, aby nagromadzić zapas idei, prawdziwych czy fałszywych, ale jasnych, w oczekiwaniu aż posiędę ich tyle, aby je móc porównywać z sobą i wybierać. Ta metoda ma swoje ujemne strony, wiem o tem, ale okazała się dobra dla moich celów. Po kilku latach, w ciągu których myślałem ściśle według myśli cudzej, nie zastanawiając się i prawie nie rozumując, przyswoiłem sobie zapas pojęć dość znaczny, aby wystarczać samemu sobie i myśleć bez pomocy drugich. Kiedy podróże i zatrudnienia pozbawiły mnie możności zaglądania do książek, zabawiałem się często przechodzeniem w myśli i zestawianiem tego com niegdys czytał, ważeniem każdej rzeczy na szali rozumu a niekiedy sądzeniem swoich mistrzów. To, że tak późno zacząłem się posługiwać własnym sądem, nie przypuszczam, by wpłynęło ujemnie na jego sprawność; kiedy ogłosiłem swoje myśli, nie zarzucono mi, że jestem powolnym uczniem i że przysięgam jeno *in verba magistri*.

Przechodziłem zkolei do geometrii elementarnej; nigdy nie posunąłem się dalej. Upierając się zwyciężyć swój brak pamięci, wracałem sto razy do tego samego i podejmowałem nieustannie tę samą drogę. Nie smakowałem w geometrii Euklida, która daje raczej łańcuch dowodów, niżeli łączność myśli; wołałem geometrię O. Lamy, który, od tego czasu, stał się jednym z mych ulubionych autorów i którego dzieła dziś jeszcze odczytuję z przyjemnością. Potem następowała algebra, przyczem wciąż O. Lamy służył mi za przewodnika. Kiedym już nieco postąpił, wziąłem *Naukę rachunku* O. Reynaud, następnie jego *Analizę*, której dotknąłem tylko po wierzchu. Nigdy nie zaszedłem dość daleko, aby zrozumieć zastosowanie algebry do geometrii. Nie lubiłem tego sposobu operowania bez widzenia tego co się robi; zdawało mi się, że roz-

wiązywać problemat geometryczny zapomocą zrównań, to jest grać melodję kręcąc korbką. Pierwszy raz kiedy doszedłem zapomocą rachunku, że kwadrat dwumianu składa się z kwadratu każdej jego części i podwójnego ich ilorazu, mimo iż rachunek mój wykonany był zupełnie ściśle, uwierzyłem dopiero wówczas, kiedy wykreśliłem sobie figurę. To nie przeszkadza, że bardzo lubilem algebrę, o ile przedmiotem jej były ilości oderwane; ale gdy chodziło o zastosowanie do wymiarów, chciałem widzieć operację wykreśloną linjami, inaczej nie rozumiałem nic zgoła.

Potem, następowała łacina. Była to nauka dla mnie najcięższa i nigdy nie zrobiłem w niej wielkich postępów. Zrazu, wziąłem się do metody łacińskiej z Port-Royal, ale bezowocnie. Te ostrogockie wiersze budziły odrazę w mem sercu i nie chciały mi wchodzić do ucha. Gubiłem się w tem mnóstwie reguł; ucząc się ostatniej, zapominałem wszystkiego co ją poprzedzało. Nauka słów, to nie jest rzecz wygodna dla człowieka pozbawionego pamięci; otóż, właśnie dlatego, chcąc przemocą wygimnastykować pamięć, upierałem się przy tej nauce. Trzeba mi było poniechać jej wkońcu. Poznałem na tyle składnię, aby czytać łatwego autora przy pomocy słownika. Trzymałem się tej drogi i dobrze na niej wyszedłem. Ćwiczyłem się w tłumaczeniu, nie piśmiennem ale w myśli, i poprzestałem na tem. Z dużym nakładem czasu i pracy doszedłem do tego, iż mogłem dość płynnie czytać łacińskich autorów, ale nigdy nie nauczyłem się mówić ani pisać. Wprawiało mnie to często w zakłopotanie później, kiedy, sam nie wiem jak, ujrzałem się pisarzem. Drugą niedogodnością, na którą się natknąłem przy tej metodzie, było to, że nigdy nie nauczyłem się prozodji, a jeszcze mniej prawideł wierszowania. Pragnąc, mimo to, odczuć harmonję wiersza i prozy, czyniłem niemałe wysiłki aby to osiągnąć; doszedłem wkońcu do przekonania, iż, bez nauczyciela, jest to prawie niemożliwe. Nauczysz się budowy najłatwiejszego ze wszystkich wierszy, to jest hexametru, miałem cierpliwość przeszkandować prawie całego Wergilego, znacząc stopy i wartości; następnie,

kiedy miałem wątpliwość czy jakaś sylaba jest długa czy krótka, radziłem się mego Wirgiljusza. Łatwo pojąć, iż musiałem przy tem popełniać wiele błędów, z przyczyny dopuszczalnych wyjątków. Jeśli uczenie się samemu daje wiele korzyści, ma ono także i wiele braków, a zwłaszcza połączone jest ze straszliwymi trudnościami. Wiem o tem lepiej niż ktokolwiek.

Przed południem, wstawiałem od książek; jeżeli obiad nie był gotów, odwiedzałem moich przyjaciół z gołębnika, albo szedłem pracować w ogrodzie, czekając godziny posiłku. Usłyszawszy że mnie wołają, przybiegałem pełen dobrego humoru i jeszcze lepszego apetytu; jestto okoliczność godna zanotowania, iż, choćbym był jak najbardziej chory, na apetycie nie zbywa mi nigdy. Obiadowaliśmy bardzo przyjemnie, rozmawiając o domowych sprawach, w oczekiwaniu aż mamusia będzie się mogła zabrać do jedzenia. Parę razy na tydzień, kiedy było ładnie, piliśmy kawę w ogrodzie, w cienistej i chłodnej altanie, którą obsadziłem chmielem i która była nam wielką pociechą w czas upałów; tam spędzaliśmy jaką godzinkę, oglądając jarzyny, kwiaty, rozmawiając o rzeczach dotyczących naszego życia i w ten sposób jeszcze lepiej karmiąc się jego słodyczą. Miałem drugą małą rodzinkę w końcu ogrodu, mianowicie pszczoły. Nie omieszkałem nigdy — a często mamusia ze mną — złożyć im wizyty; interesowałem się ich pracą; bawiłem się niezmiernie, widząc jak wracają z wyprawy, przyczem małe udka miały niekiedy tak obciążone, że ledwie mogły się posuwać. Przez pierwsze dni, ciekawość moja posunęła się aż do niedyskrecji, jakoż ukłuły mnie raz i drugi; ale później, zawarliśmy tak ścisłą znajomość, że mogłem podchodzić choćby najdalej zupełnie bezkarnie, żadna mnie nie ukłuła. Wszystkie zwierzęta mają nieufność do człowieka, i słusznie; ale gdy raz obudzi w nich pewność iż nie chce im szkodzić, nabierają takiego zaufania, że trzeba by być więcej niż barbarzyńcą aby go nadużyć.

Wracałem do książek, ale owe popołudniowe zatrudnienia niktyle już zasługują na nazwę pracy i nauki, ile raczej zabawy i wy-

technienia. Nigdy nie znośm ślęczenia w pokoju po obiedzie, wogóle wszelki wysilek w upał jest mi uciążliwy. Oddawałem się tedy, bez przymusu i prawie bez reguły, lekturze. Umiejętnością, w którą zapuszczałem się najgłębiej, była historia i geografja; że zaś nie wymagały wytężenia umysłu, zrobiłem w nich postępy, o ile pozwalał mi mój brak pamięci. Chciałem przerobić Ojca Petau i zapuściłem się w odmęt chronologii: ale zniechęciłem się bezładną i płytką częścią krytyczną, i chętniej zajmowałem się studjowaniem dokładnych miar czasu i biegiem ciał niebieskich. Byłbym nabrał zamiłowania do astronomji, gdybym miał instrumenty; ale trzeba mi było zadowolić się podstawowemi wiadomościami z książek i paroma prymitywnemi obserwacjami, dokonanemi zapomocą lichej lunety, jedynie dla rozeznania się w ogólnej sytuacji nieba: ile że krótki wzrok nie pozwala mi gołem okiem rozróżnić gwiazd. Przypominam tu sobie przygodę, której wspomnienie nieraz wprawiło mnie w wesołość. Kupiłem planisferę niebieską, aby studjować konstelacje. Umocowałem tę planisferę na ramie; kiedy niebo było pogodne, szedłem w nocy do ogrodu, umieszczałem ramę na czterech kijach mniejwięcej mego wzrostu, obracając planisferę ku dołowi; aby ją móc oświetlić mimo wiatru, wstawiłem świecę w gliniany garnek ustawiony między słupkami, następnie zaś, patrząc na planisferę golemi oczyma, a na niebo przez lunetę, ćwiczyłem się w poznawaniu gwiazd i rozróżnianiu konstelacyj. Wspomniałem, zdaje mi się, że ogród pana Noiret opuszczał się terasowato, zazczem widać było z drogi co się w nim dzieje. Jednego wieczora, chłopci, przechodząc dość późno, ujrzeni mnie, w dziwnym stroju, oddanego memu zatrudnieniu. Blask padający na planisferę (źródła światła nie widzieli, zakrywały je ich oczom ściany garnka), cztery słupki, papier pokreślony figurami, rama, luneta, która to wysuwała się to kurczyła, wszystko to przestraszyło ich. Strój mój również nie mógł się przyczynić do ich uspokojenia; kapelus z wielkim rondem, nasadzony na szlafmycę, wutowany kaftanik mamusi (nałożyła mi go przemocą), wszystko to dawało mi postać praw-

dziwego czarownika: że zaś było blisko północy, nie wątpili, że to początek sabbatu. Nieciekawi dalszego ciągu, uciekli w popłochu, pobudzili sąsiadów aby im opowiedzieć swoje zwidzenie, i historia poszła z ust do ust tak szybko, iż, nazajutrz, każdy w sąsiedztwie wiedział, że w ogrodzie pana Noiret odbywają się sabbaty. Nie wiem co by wynikło z tych pogłosek, gdyby nie to, że jeden z chłopów, świadek moich czarnoksięskich misterjów, pobiegł tego samego dnia na skargę do dwóch jezuitów, którzy nas odwiedzali niekiedy, i którzy, nie wiedząc o co chodzi, zgóry rozprószyli ich obawy. Opowiedzieli nam całą historję, wyjaśniłem przyczynę i uśmialiśmy się szczerze. Ale z obawy przed powtórzeniem się takiego wypadku, uchwalono, że, na przyszłość, będę badał niebo bez światła, do planisfery zaś będę zaglądał w domu.

Taki był mój tryb życia w Charmettes, kiedy nie byłem zajęty pracą w polu; do tej miałem szczególne zamilowanie. W zakresie który nie przechodził moich sił, pracowałem jak prosty wieśniak: co prawda, byłem wówczas tak osłabiony, iż mogłem dawać jedynie dobre chęci. Przytem chciałem naraz spełniać dwie roboty, dlatego żadnej nie spełniałem dobrze. Ułożyłem sobie, iż, choćby gwałtem, muszę wyrobić pamięć; upierałem się jaknajwięcej uczyć się pamięciowo. W tym celu, miałem zawsze przy sobie jakąś książkę, z której, z okropnym trudem, czytałem i powtarzałem głośno całe ustępy, wciąż przytem zajęty pracą ręczną. Dziwię się sam, iż uporczywość owych czczych wysiłków nie doprowadziła mnie do oglupienia. *Eklog* Wirgiljusza, z których nie umiem ani słowa, uczyłem się, zapominając i na nowo ucząc się chyba ze dwadzieścia razy. Pogubiłem i zbrakowałem mnóstwo książek, nabrawszy zwyczaju noszenia ich wszędzie z sobą, do gołębnika, do ogrodu, do sadu, do winnicy. Zajęty czem innem, kładłem książkę pod drzewem albo na żywopłocie; zapominałem jej, i często po dwóch tygodniach znajdowałem ją zgniłą albo zjedzoną przez mrówki i ślimaki. Ten szal kształcenia się stał się manją, która doprowadzała mnie wręcz do oglupienia: bez przerwy mamrotałem coś przez zęby.

Ponieważ najczęstszą mą kulturę stanowiły pisma Port-Royal i Oratorjum, stałem się przez nie wpół-jansenistą. Mimo mej pogody ducha, ta twarda teologia przerażała mnie niekiedy. Groza piekła, którego dotąd obawiałem się bardzo niewiele, mąciła mój spokój; gdyby mamusia nie wpływała uspakajająco, ta przerażająca nauka byłaby mnie do cna opętała. Spowiednik mój, który był i jej spowiednikiem, dokładał starań, aby mi wrócić równowagę. Był to O. Hemet, jezuita, dobry i mądry staruszek, którego pamięć zawsze mi będzie szacowną. Mimo iż jezuita, miał on prostotę dziecka; a moralność jego, nietyle wolnomyślna ile nacechowana łagodnością, stanowiła dla mnie najlepszą przeciwwagę jansenizmu. Ten poczciwiec, i towarzysz jego, O. Copier, zachodzili często do Charmettes, mimo iż droga była ciężka i jak na ich wiek dość daleka. Odwiedziny ich były mi bardzo zbawienne: niech Bóg odpląci ich duszom! zbyt bowiem sędziwi byli wówczas, abym mógł przypuszczać, że jeszcze żyją. Zachodziłem także do nich w Chambéri; oswajałem się potrosze w klasztorze; biblioteka ich stała mi otworem. Wspomnienie tych szczęśliwych chwil łączy się z jezuitami tak blisko, iż każe mi ich kochać dla tego wspomnienia; i mimo że ich nauka wydawała mi się zawsze bardzo niebezpieczną, nie mogłem się nigdy zdobyć na to, aby ich szczerze nienawidzić.

Chciałbym wiedzieć, czy przez dusze innych ludzi przemykają niekiedy dzieciństwa podobne moim. Wśród ciągłych studjów i życia tak niewinnego jak tylko być może, mimo wszystkich zapewnień i perswazyj, obawa piekła dręczyła mnie ciągle. Często stawiałem sobie pytanie: w jakim stanie znajduje się w tej chwili? gdybym umarł teraz nagle, czy byłbym potępiony? Wedle jansenistów, rzecz nie ulegała wątpliwości, ale wedle mego sumienia zdawało mi się że nie. Wciąż niespokojny i miotany okrutną niepewnością, szukając ratunku, uciekałem się do najpociesniejszych środków, za które, gdybym te objawy widział u kogoś drugiego, byłbym skłonny zamknąć człowieka do warjatów. Jednego dnia, dumając nad tym smutnym przedmiotem, ćwiczyłem się machinal-

nie w ciskaniu kamieniami o pnie i to z mą zwykłą zręcznością, to znaczy chybiając prawie za każdym razem. W pełni tego ćwiczenia, przychodzi mi nagle myśl aby uczynić zeń prognostyk dla uśmierzenia obaw. Powiadam sobie: rzucę kamieniem o to drzewo; jeśli trafię, to znak iż będę zbawiony; jeśli chybię, potępiony. Tak sobie mówiąc, rzucam kamień drżącą ręką i ze straszliwym biciem serca, ale tak szczęśliwie, że ugodził w sam środek pnia. Poprawdzie, nie było to trudno, ponieważ byłem na tyle ostrożny, aby wybrać pień gruby i bardzo blisko. Od tego czasu, nie wątpiłem już o mem zbawieniu. Przypominając sobie ten czyn, nie wiem czy śmiać się, czy ubolewać nad sobą. Wy, wielcy ludzie, którzy z pewnością śmiejecie się, możecie być dumni ze swej wyższości; ale nie urągajcie mej głupocie: przysięgam że sam czuję ją dostatecznie.

Zresztą, te niepokoje, te strachy, nieodłączne może od pobożności, nie były stanem ciągłym. Zwykle byłem dość spokojny; wrażenie, jakie myśl o bliskiej śmierci czyniła na mej duszy, było nienawet smutkiem, ile jakąś spokojną omdlałością, nie wolną nawet od słodyczy. Odnalazłem niedawno między starymi papierami rodzaj nauki, jaką aplikowałem sobie samemu: chwaliłem w niej siebie, że umieram w wieku, w którym ma się dość odwagi aby patrzeć w oczy śmierci, i że schodzę ze świata, nie doświadczwszy w mem życiu żadnych większych mąk ciała i ducha. Jakże miałem słuszność! Przeczucie jakieś kazało mi się obawiać życia i jego cierpień. Zdawałoby się, iż przewidywałem los, który mnie czekał na stare lata. Nigdy nie byłem tak blisko mądrości, jak w tej szczęśliwej epoce. Bez wielkich wyrzutów z powodu przeszłości, wolny od trosk na przyszłość, trwałem w dominującym w mej duszy uczuciu cieszenia się teraźniejszością. Dewoci mają zazwyczaj coś z drobnej ale bardzo żywej zmysłowości, dającej im z lubością wysysać niewinne a dozwolone rozkosze. Ludzie światowi czynią im z tego zbrodnię, nie wiem czemu, albo raczej wiem: dlatego, że zazdroszą drugim słodyczy czerpanej w prostych przyjemnościach, których smak sami zatracili. Ja miałem ten smak, i znajdowałem wiel-

ki urok w zaspakajaniu go z czystym sumieniem. Serce moje, jeszcze świeże, oddawało się wszystkiemu ze szczęściem dziecka, albo, jeśli śmiem się tak wyrazić, z rozkoszą anioła, w istocie bowiem te spokojne słodycze podobne są, z niewinności swojej, rajskim. Obiady na trawie, wieczery w altance, zrywanie owoców, żniwa, winobranie, darcie konopi wespół z naszymi ludźmi, wszystko to było jednym szeregiem zabaw, w których mamusia znajdowała tyleż radości co ja. Samotne przechadzki miały jeszcze większy urok, gdyż serce wywnętrzało się z większą swobodą. Między innemi, zrobiliśmy jeden spacer, stanowiący epokę w mych wspomnieniach: było to w dzień świętego Ludwika, którego imię nosiła mamusia. Wybraliśmy się rano, sami, wczesnym rankiem, po mszy, którą karmelita odprawił o świcie w kaplicy koło domu. Podałem myśl, aby się puścić na przeciwległe zbocze, którego nie zwiedziliśmy jeszcze. Wysłaliśmy naprzód prowjanty, bo wycieczka miała trwać cały dzień.

Mamusia, choć nieco okrągła i tłuściutka, była niezłą piechurką: wędrowaliśmy z pagórka na pagórek, z lasku do lasku, czasem słońcem, często cieniem, odpoczywając potrosze i zapamiętując się na całe godziny; rozmawiając o sobie, o naszym związku, o słodyczach naszej doli, wyrażając życzenia aby mogła trwać całe życie; życzenia, które, niestety, nie zostały wysłuchane! Wszystko składało się na to, aby ten dzień upłynął jak najszczęśliwiej. Niedawno padał deszcz, nie było pyłu, strumienie toczyły obficie wodę, chłodny wietrzyk poruszał liśćmi, powietrze było czyste, widnokrąg bez chmur, pogoda panowała na niebie, jak w naszych sercach. Obiad sporządziliśmy w chałupie jakiegoś kmiotka i podzieliliśmy go z jego rodziną, błogosławiącą nas z całego serca. Ci poczciwi Sabaudczycy to tacy dobrzy ludzie! Po obiedzie, schroniliśmy się w cień, pod wielkie drzewa; gdy ja gromadziłem chrust aby przyrządzić kawę, mamusia zbierała zioła po zaroślach. Po drodze, nazrywałem mamusi cały pęk kwiatów; pokazywała mi w ich budowie wiele ciekawych rzeczy, które mnie bawiły i które powinny były obudzić

we mnie zamiłowanie do botaniki. Ale pora jeszcze nie nadeszła: byłem zbyt pochłonięty tyłoma innymi studjami! W tej chwili, przyszła mi myśl, która mnie oderwała od ziół i kwiatów. Stan duszy, w którym się znajdowałem, wszystko cośmy mówili i robili tego dnia, przedmioty które zwrócili moją uwagę, wszystko to przypomniało mi rodzaj snu, jaki marzyłem na jawie w Annecy przed siedmiu czy ośmiu laty, a o którym wspominałem w swoim miejscu. Związek był tak uderzający, że, myśląc o tem, wzruszyłem się do łez. W wybuchu czułości uściskałem drogą przyjaciółkę: „Mamusiu, mamusiu, rzekłem z uniesieniem, ten dzień był mi przyrzeczony oddawna; oto ziściło się wszystko, o czem mogłem marzyć. Szczęście moje, dzięki tobie, jest u szczytu; oby nigdy nie doczekało się zachodu! oby trwało tak długo, jak długo mi będzie drogiem! nie skończyłoby się aż z mem życiem“.

Tak płynęły mi szczęśliwe dni, tem szczęśliwsze, że, nie widząc nic coby je mogło zmącić, w istocie koniec ich widziałem jedynie z końcem życia. To nie znaczy, aby źródło trosk zupełnie wyschło; ale skierowało się w odmienne koryto, i starałem się zwrócić je, o ile mogłem, w stronę rzeczy użytecznych, tak aby przyniosło z sobą i lekarstwo. Mamusia z natury lubiła wieś, a moje towarzystwo mogło ją tylko w tem utrwalić. Stopniowo nabrała zamiłowania do gospodarstwa; lubiła wydobywać z ziemi ile się da; znała się na tem i zajęcie to robiło jej przyjemność. Nie wystarczył jej nawet kawałek gruntu przy domu; dzierżawiła, najmowała to półko jakieś, to kawałek łąki. Słowem, przenosząc swą przedsiębiorczość w sferę rolnictwa, zamiast próżnować i wypoczywać, krzątała się tak, jakby miała zostać niebawem obywatelką ziemską. Nie podobał mi się zbyt jej zapal; powściągałem ją ile mogłem, pewien iż zawsze wkońcu padnie ofiarą złudzeń i że usposobienie jej, szerokie i hojne, zawsze podniesie sumę wydatków ponad wysokość dochodu. Bądź co bądź, pocieszałem się tem, że przynajmniej dochód ten nie będzie zupełnie znikomy i pomoże jej do życia. Ze wszystkich przedsięwzięć, jakie mamusia mogła podjąć,

to wydało mi się najmniej rujnujące; nie dopatrując się w niem zysków, widziałem wszelako nieustanne zatrudnienie, zdolne ocalić ją od awanturnicznych pomysłów i wyzysku hultajów. W tej myśli, pragnąłem gorąco odzyskać tyle sił i zdrowia, ile było trzeba aby czuwać nad jej interesami, być dozorcą robotników, rodzajem plenipotentą. Siłą rzeczy, zajęcia do których się wkładałem w tym celu, odrywając mnie od książek i każąc mi zapominać o moim stanie zdrowia, wpływały na nie tem samem korzystnie.

(1737-1741). Następnej zimy, Barillot, wracając z Włoch, przywiózł mi kilka książek, między innymi *Bontempiego* i *Cartella per musica* O. Banchieri, które obudziły we mnie ciekawość do historii muzyki i do teoretycznych badań nad tą piękną sztuką. Barillot zabawił jakiś czas z nami; że zaś byłem od kilku miesięcy pełnoletni, postanowiliśmy, że, najbliższej wiosny, udam się do Genewy upomnieć się o mająteczek po matce, a przynajmniej o część, która na mnie przypada w oczekiwaniu wiadomości o losie brata. Stało się jakieśy postanowili. Udałem się do Genewy, ojciec stawił się tam również. Od dłuższego czasu, bywał w tem mieście bez przeszkód, mimo że sprawy jego nie umorzono: ale ponieważ ceniono jego odwagę i szanowano charakter, patrzano przez palce na te dawne dzieje; przytem władze, zajęte wielkim projektem który wystrzelił niedługo później, nie chciały przed czasem drażnić mieszczaństwa, przypominając im nie w porę dawną stronniczość.

Lękałem się, aby mi nie czyniono trudności z powodu zmiany religji: nie doświadczyłem żadnych. Ustawy w Genewie są pod tym względem mniej surowe niż w Bernie, gdzie, ktokolwiek zmieni wyznanie, traci nietylko prawa obywatelskie, ale i majątek. Nie kwestjonowano tedy mej należności, ale okazało się, nie wiem jakim sposobem, iż stopniała ona do nieznaczonej kwoty. Mimo iż było prawie pewne że brat nie żyje, nie było prawnego dowodu. Nie posiadając wystarczających tytułów aby się domagać jego części, zostawiłem ją, bez żalu, ojcu; jakoż korzystał z niej, póki żył. Skoro tylko załatwiono formalności i dostałem do rąk pieniądze, obró-

cilem część na książki, a resztę pośpieszyłem zanieść do stóp mamusi. Serce biło mi w drodze z radości, a chwila, w której złożyłem te pieniądze w jej ręce, była mi tysiąc razy słodsza, niż ta, w której dostały się one do moich. Przyjęła je z całą prostotą szlachetnych dusz, które, spełniając codzien te rzeczy bez wysiłku, patrzą na nie bez podziwu. Pieniądze obróciła prawie całkowicie na moje potrzeby i to z tą samą prostotą. Na ten sam użytek byłyby poszły, gdyby były spadły skądinąd.

Mimo to, zdrowie moje nie polepszało się; przeciwnie, gasłem w oczach; byłem blady i chudy jak szkielec, pulsowanie tętnic nękało mnie straszliwie, palpacje były coraz częstsze, czulem niestanny ucisk, a osłabienie doszło wkońcu do tego, iż z trudnością zdałem się poruszać. Nie mogłem przyspieszyć kroku by zaraz nie dostać duszności; nie mogłem się schylić bez zawrotu głowy; nie mogłem podnieść najmniejszego ciężaru, byłem skazany na bezczynność jakże nieznośną dla tak ruchliwego człowieka! To pewna, że w tem wszystkim było dużo waporów. Wapory są chorobą ludzi szczęśliwych; i mnie tedy nie oszczędziły. Łzy, wylewane bez przyczyny, napady przestachu za szelestem liścia albo ptaszka, zmienność humoru wśród najmiłszego życia, wszystko to zwiastowało jakby przesycenie słodyczą, objawiające się ową zbyt wybujałą wrażliwością. Jesteśmy tak niestworzeni aby tu na ziemi kosztować szczęścia, że trzeba koniecznie, aby dusza lub ciało, o ile nie oba razem, spłaciły okup cierpieniu, a pomyślny stan jednego oddziaływa prawie zawsze ujemnie na drugie. Kiedy byłbym mógł cieszyć się rozkoszą życia, organizm mój, wyniszczony i osłabły, nie dopuszczał tego, a co najgorsza, niepodobna było odnaleźć siedziby choroby. W późniejszym życiu, mimo lat i mimo bardzo prawdziwych i poważnych cierpień, ciało moje jakgdyby odzyskało siły, aby lepiej odczuwać me niedole. Teraz, kiedy piszę te słowa, chory, blisko sześćdziesięcioletni, przygnieciony wszelkimi nieszczęściami, czuję w sobie więcej siły do dźwigania cierpień, niż ich miałem w kwiecie wieku dla słodczy najprawdziwszego szczęścia.

Na dobitkę, liżnąwszy w swoich lekturach nieco fizjologii, zabrałem się do anatomji; otóż, uświadamiając sobie mnogość różnorodnych i złożonych części organizmu, dwadzieścia razy na dzień doznawałem uczucia, że to wszystko się we mnie rozprzega. Mniej dziwiłem się temu, iż czuję się umierającym, niż temu że jeszcze żyć mogę. Nie zdarzyło mi się przeczytać opisu choroby, abym natychmiast nie doszukał się jej w sobie. Jestem pewny, że, gdybym nawet nie był chory, rozchorowałbym się wskutek tej nieszczęsnej nauki. Znajdując w każdej chorobie własne symptomy, gromadziłem je w sobie wszystkie; ponadto, przybyła mi nowa, niebezpieczniejsza jeszcze, z której zdawało się że już się wyzwoliłem, a mianowicie zapal do leczenia się. Jestto choroba nieunikniona prawie dla kogoś, kto zabrnje w dzieła lekarskie. Po długich dociekaniach, namysłach, porównaniach, uroiłem sobie, że podstawą mego cierpienia jest polip w sercu; sam Salomon zdawał się uderzony tą ideą. Biorąc rzecz racjonalnie, powinno to było tylko utwierdzić mnie w dawniejszej determinacji. Stało się przeciwnie. Wytężyłem wszystkie siły na dociekanie, jak możnaby uleczyć polipa w sercu, z mocnem postanowieniem podjęcia tej cudownej kuracji. W czasie podróży, jaką Anet odbył niegdyś do Montpellier aby poznać tamtejszy ogród botaniczny, powiedziano mu, że doktor Fizes uleczył kogoś z takiego polipa. To wystarczyło, aby mnie natchnąć żądzą szukania porady u doktora Fizes. Nadzieja wyleczenia dodała mi sił i energii do podróży. Pieniądze przywiezione z Genewy dostarczyły środków. Mamusia nietylko nie odradzała mi, ale utwierdzała mnie w zamiarze; puściłem się tedy do Montpellier.

Nie potrzebowałem wędrować tak daleko, aby znaleźć lekarza jakiego mi było trzeba. Zbyt utrudzony podróżą konną, nająłem w Grenobli wehikul. W Moirans spotkałem kilka innych, które nadjechały sznurkiem tuż za moim. Gwar, zamęt. Większość tych pojazdów należała do orszaku świeżo zamężnej damy, nazwiskiem du Colombier. Między innymi gośćmi, towarzyszyła pannie młodej niejaka pani de Larnage, nie tak młoda i piękna jak pani du Colom-

bier, ale nie mniej urocza. Tamta zatrzymywała się w Romans, ta zaś miała jechać dalej, do Saint-Andiol, niedaleko Pont-Saint-Espirit. Może sobie czytelnik wyobrazić, że, przy mem znanem niezdarstwie, nie łatwo przyszło do znajomości z tak świetnymi damami i otaczającą je świtą; ale wreszcie, jadąc tą samą drogą, stając w tych samych oberżach, i zmuszony, o ile nie chciałem uchodzić za dzikusa, siadać u tego samego stołu, nie mogłem uniknąć prezentacji. Przyszło zatem do tego, i to wcześniej niżbym pragnął; cały bowiem ten zamęt nie bardzo odpowiedni był dla chorego z mojem usposobieniem. Ale ciekawość tak przypiekła te szelmy kobietki, że, aby doprowadzić do znajomości z mężczyzną, zaczynały od tego, iż zawracają mu głowę. Tak stało się ze mną. Pani du Colombier, otoczona zgrają fircyków, nie miała czasu na kokietowanie mnie; ale pani de Larmage, mniej oblegana i troskliwsza o zapewnienie sobie rozrywki w drodze, zabrała się do mnie z miejsca. Bywaj zdrów, biedny Janie Jakóbie, a raczej bywajcie zdrowe febro, wapory, polipy; wszystko gdzieś podziało się przy niej, z wyjątkiem pewnych palpitycyj, które mi zostały i z których nie chciała mnie uleczyć.

Smutny stan mego zdrowia był pierwszą kanwą znajomości. Widziano, że jestem chory, wiedziano, że udaję się do Montpellier; widocznie z miny i z obejścia nie wyglądałem na rozpustnika, z dalszego ciągu bowiem okazało się jasno, iż nie czyniono co do mnie żadnych hańbiących przypuszczeń. Mimo że naogół choroba nie jest dla mężczyzny zbyt dobrą rekomendacją u dam, w tym wypadku uczyniła mnie interesującym. Rano przysyłały dowiadywać się o moje zdrowie i zapraszały na czekoladę, wypytując się jak spędziłem noc. Jednego dnia, zgodnie z chwalebnym zwyczajem odpowiadania bez myśli, odrzekłem, że nie wiem. Sądziły, że mam źle w głowie; zaczęły mi się bliżej przyglądać i przegląd nie wypadł na moją niekorzyść. Usłyszałem raz, jak pani du Colombier mówiła do przyjaciółki: „Nieobyty jest trochę, ale miły“. To słówko dodało mi odwagi, uczyniło mnie miłym naprawdę.

W miarę jak postępowała zażyłość, trzeba było mówić coś o sobie; kto zaczął, skąd jedzie, dokąd śpieszy. To wprawiało mnie w zakłopotanie, czułem dobrze, że, w tem świetnym towarzystwie, wobec wykwintnych dam, epitet „nowonawrócony“ będzie dla mnie zabójczy. Nie wiem jak mi ten koncept wpadł do głowy, dość że, ni stąd ni zowąd, postanowiłem udawać Anglika, nazwiskiem Dudding; co osobliwsze, uwierzono w to.

Był w towarzystwie niejaki markiz de Torignan, chory jak i ja, do tego stary i dość zrzędnny. Otóż, ten przekłety nudziarz uparł się zawiązać rozmowę z panem Dudding. Zagaił o królu Jakóbie, o pretencjach, o dawnym dworze w Saint-Germain. Siedziałem jak na szpilkach; wiedziałem o tem ledwie tyle, co przeczytałem w Hamiltonie i w gazetach; mimo to, spożytkowałem te wiadomości tak dobrze, że wykręciłem się ze sprawy: szczęściem, nikomu nie przyszło na myśl brać mnie na egzamin z języka angielskiego, którego nie znałem ani słowa.

Cała kompanja dobrze czuła się z sobą i z żalem patrzyła na zbliżające się rozstanie. Wlekliśmy się ślimaczym krokiem. Pewnej niedzieli, znaleźliśmy się w Saint-Marcellin. Pani de Larnage chciała iść na mszę; towarzyszyłem jej, co ośmal nie popsuło mej sprawy. W kościele zachowywałem się tak, jak było moim zwyczajem. Z postawy mej, poważnej i skupionej, mniemała, iż ma do czynienia z bigotem i powzięła o mnie najgorszą opinię, jak mi to wyznała w dwa dni potem. Trzeba mi było później dużo galanterji aby zatrzeć to złe wrażenie; lub raczej pani de Larnage, jako kobieta doświadczona i nie łatwo dająca się zrazić, zechciała zaryzykować pewne awanse, aby się przekonać jak się wywiążę ze sprawy. Istotnie, nie oszczędziła mi ich, i to takich, iż ja, o sto mil od męskiej próżności, myślałem, że sobie żartuje ze mnie. Pod wpływem tego dzieciństwa, sadiłem głupstwo na głupstwo, gorzej niż margrabia w *Zapisie* ¹⁾. Pani de Larnage nie dawała za wygraną, zachowywa-

¹⁾ Komedja Marivaux.

ła się tak wyzywająco i mówiła mi rzeczy tak czule, że człowiekowi o wiele mniej niewinnemu trudnoby było wszystko wziąć za dobrą monetę. Im dalej się posuwała, tem bardziej utwierdzała mnie w mojej idei, co mnie dręczyło tem więcej, ile że tymczasem sam zawróciłem sobie porządnie głowę. Mówiłem w duchu i jej powtarzałem wdychając: „Ach! czemuż to wszystko nie jest prawda! byłbym najszczęśliwszy z ludzi!“ Sądzę, iż naiwność nowicjusza podrażniła tylko jej kapryś; to fakt, iż zdecydowana była nie dać za wygraną.

Zostawiliśmy w Romans panią du Colombier z jej orszakiem. Ciągnęliśmy dalej naszą drogę najwolniej i najrozkoszniej w świecie: pani de Larnage, margrabia de Torignan i ja. Margrabia, mimo iż chory i zrzędnym, był w gruncie niezły człowiek, ale niezbyt lubiący rolę biernego świadka cudzych przyjemności. Pani de Larnage tak mało ukrywała skłonność do mojej osoby, iż margrabia eposprzegł się na tem wcześniej odemnie. Jeśli nie co innego, to same jego sarkazmy powinny były wlać we mnie ową pewność siebie, której nie śmiałem nabrać z przymilności mej damy. Ba, cóż, kiedy wpadłem na koncept, do jakiego jedynie ja byłem zdolny, że oni się porozumieli, aby mnie brać na fundusz. Ten głupi pomysł do reszty zmaćił mi w głowie i kazał mi odgrywać najgłupszą w świecie rolę, w sytuacji, w której serce moje, szczerze rozkochane, umiałoby podyktować mi o wiele wdzięczniejszą. Nie pojmuję, w jaki sposób pani de Larnage nie zraziła się memi komedjami i nie odpędziła mnie ze wzgardą. Ale to była wytrawna osoba, która rozumiała się na ludziach i widziała, że źródłem mego umiarkowania jest bardziej głupota niż co innego.

Doprowadziła wreszcie do tego, żeśmy się porozumieli; ale nie przyszło to jej bez trudu. Przybyliśmy do Valence, aby tam spożyć obiad i, wedle naszego chwalebego zwyczaju, zostaliśmy tam już resztę dnia. Mieszkaliśmy w oberży za miastem; nigdy nie wyjdzie mi z pamięci ta oberża i pokój, który pani de Larnage w niej zajmowała. Po obiedzie, zapragnęła przejść się nieco. Wie-

działa, że z margrabiego nie wielki piechur; był to sposób zapewnienia nam dwojgu sam-na-sam, którego postanowiła sobie nie zmarnować; zważywszy bliski kres podróży, niewiele mieliśmy, wai-
ste, czasu do stracenia. Przechadzaliśmy się koło miasta wzdłuż wa-
łów. Tam, rozpocząłem na nowo swoje wzdychania, na które, przy-
ciskając od czasu do czasu do piersi me ramię, odpowiadała tak
tkliwie, że trzeba było iście mojej głupoty, aby nie spróbować
doświadczalnie sprawdzić szczerości jej słów. Najlepsze jest, iż ja
sam byłem przytem w najwyższym stopniu wzruszony. Powiedzia-
łem, że pani de Larnage była powabna: miłość uczyniła ją czaru-
jącą; dzięki niej odzyskała cały blask młodości i rozwijała swą za-
lotność z takim kunsztem, że byłaby uwiodła najwytrawniejszego
gracza. Czulem się tedy bardzo nieswój i wciąż o krok od ostatecz-
nych granic; ale obawa obrażenia jej lub zrażenia, jeszcze większy
strach że może mnie wyszydzić, wydrwić, wystrychnąć na dudka,
ba, uczynić przedmiotem zabawy przy stole i ściągnąć na mnie
drwiny nielitościwego margrabiego, wszystko to paraliżowało mnie
do tego stopnia, iż sam byłem wściekły na mą niewczesną wstydl-
wość, ale nie umiałem jej pokonać. Byłem na torturach: zaniecha-
łem westchnień Celadona, których śmieszność, w podobnej sytuacji,
na ustronnej dróżce leśnej, sam rozumiałem; nie wiedząc już jak
się zachować, ani co rzec, milczałem; byłem chmurny, nadąsany;
słowem, robiłem co w mej mocy, aby ściągnąć na siebie nielaskę
której się tak obawiałem. Szczęściem, pani de Larnage powzięła
bardziej ludzkie postanowienie. Przerwała nagle to milczenie, opla-
tając mi rękę koło szyi, a zarazem usta jej przemówiły do moich,
zbyt wymownie abym mógł dłużej trwać w błędzie. Przesilenie to
nie mogło wypaść bardziej w porę. W mgnieniu oka przeszedłem
do właściwej roli: a był czas. Obudziła we mnie to zaufanie, któ-
rego brak niemal zawsze przeszkadzał mi być sobą. Nigdy oczy
moje, zmysły, serce i usta nie były tak wymowne; nigdy tak wspa-
niale nie okupiłem swych błędów. Jeśli to małe zwycięstwo koszto-

wało panią de Larnage nieco trudów, mogę sobie pochlebić, że nie miała powodu ich żalować.

Choćbym żył sto lat, zawsze wspomnienie tej uroczej kobiety będzie mi szczerą rozkoszą. Powiadam uroczej, mimo że nie była ani młoda ani ładna; bądź co bądź, nie była stara i brzydka, i nie było w jej postaci nic, coby przeszkadzało błyszczeć w całej pełni reszcie jej zalet. W przeciwieństwie do innych kobiet, twarz jej, zniszczona, jak sądzę, od rużu, była najmniej świeżym jej szczegółem. Pani de Larnage miała przyczyny aby być łatwą: w ten jedynie sposób mogła dać poznać to, co w niej było najbardziej urocze. Można ją było ujrzyć a nie pokochać, ale nie można było posiadać jej a nie ubóstwiać; co dowodzi, o ile mi się zdaje, że niezawsze była tak hojna swemi łaskami, jak ze mną. Kaprys, który ją pchnął w moje ramiona, był zbyt nagły i żywy, aby go można było usprawiedliwić, ale serce miało w nim conajmniej tyleż udziału co zmysły. Przez ten krótki i rozkoszny czas który przy niej spędziłem, mam prawo przypuszczać — a to ze starań jakich dokładała aby mnie oszczędzać — iż, mimo że zmysłowa i łakoma rozkoszy, wyżej jeszcze stawiała względy mego zdrowia niż swoją przyjemność.

Nasze porozumienie nie ukryło się przed margrabią. Mimo to, nie zaprzestał docinków; przeciwnie, bardziej niż wprzód prześladował mnie jako biednego wzdychacza, męczennika kobiecej srogości. Nigdy nie wymknęło mu się najmniejsze słowo, uśmiech, spojrzenie, któreby pozwoliło się domyślać, że nas odgadł. Byłbym mniemał, żeśmy go wywiedli w pole, gdyby pani de Larnage, bystrzejsza odemnie, nie powiedziała mi, że tak nie jest, tylko że margrabia jest człowiek rycerski; w istocie, nie można by się zachowywać dworniej, ani roztaczać więcej uprzejmości, nawet dla mnie (pomijając niewinne przyczynki), zwłaszcza od czasu mego tryumfu. Może przypisywał mi jego zasługę i uważał mnie za mniejszego dudka, niż na to wyglądałem. Mylił się, jak wiadomo

czytelnikom; ale mniejsza, omyłka jego wychodziła mi na dobre. Pewien, że aplauz słuchaczy będzie po mojej stronie, dość wdzięcznie i chętnie znosiłem jego przycinki odgryzając się niekiedy wcale szczęśliwie. Dumny byłem, iż mogę, w obecności pani de Larnage, popisywać się dowcipem, który ona we mnie tchnęła. Stałem się innym człowiekiem.

Byliśmy w okolicy sławnej z dobrej kuchni, zwłaszcza o tej porze; wszędzie też biesiadowaliśmy znakomicie, dzięki umiejętnym staraniom margrabiego. Byłbym go wzamian chętnie uwolnił od troskliwości o wybór pokojów, ale posyłał zawsze naprzód lokaja dla zatrzymania kwatery: ten hultaj, czyto z własnego konceptu, czy na rozkaz pana, umieszczał zawsze margrabiego obok pani de Larnage, a mnie pchał na drugi koniec gospody. Ale to nie kłopotowało nas wcale, i schadzki miały przez to tem więcej pieprzyku. To rozkoszne życie trwało cztery czy pięć dni, podczas których pływałem w najslodszych upojeniach. Piłem tę chwilę czystej i żywej słodyczy, bez żadnej domieszki zgryzot. Były to pierwsze i jedyne chwile, których kosztowałem w ten sposób i mogę rzec, iż pani de Larnage zawdzięczam, że nie umrę, nie poznawszy rozkoszy.

Jeżeli to, co czułem dla niej, nie było, ściśle biorąc, miłością, było to w każdym razie tak czule odbicie miłości która ona mi okazywała, upojenie zmysłów tak palące w swej rozkoszy i poufalskość tak słodka, że posiadała urok namiętności, będąc zarazem wolna od jej szalu, który mąci głowę i nie dość pozwala cieszyć się użyciem. Raz tylko w życiu czułem prawdziwą miłość i nie ona była jej przedmiotem. Nie kochałem jej również tak, jak pokochałem i kochałem jeszcze panią de Warens: ale dlatego właśnie posiadałem ją sto razy lepiej. W ramionach mamusi, rozkosz moją mąciło zawsze uczucie smutku, jakieś tajemne ściśnienie serca, które nie bez trudności przychodziło mi zwyciężyć: miałem cieszyć się że ją posiadam, wyrzucałem sobie że ją kalam. Przy pani de Larnage, przeciwnie, dumny z własnej męskości i szczęścia, oddawałem się porywom zmysłów z radością, z ufnością w siebie; podziela-

lem upojenia, które dawałem mej kochance; miałem dość świadomości, aby spoglądać z dumą i rozkoszą na swój tryumf i czerpać w nim siły do mnożenia jego symbolów.

Nie przypominam sobie, w jakiej miejscowości opuścił nas margrabia, którego dobra leżały w tych stronach. To wiem iż znaleźliśmy się sami, nim dotarliśmy do Montélimart; z tą chwilą, pani de Larnage przeniosła pannę służącą do mego wehikulu, a mnie zabrała do swego. Mogę zapewnić, że droga odbywana w ten sposób nie wydała się nam nudną; trudnoby mi było zdać sprawę z wyglądu okolic, któreśmy przebiegali. W Montélimart, towarzyszka moja miała jakieś sprawy, które zatrzymały ją trzy dni. Przez cały ten czas wszelako opuściła mnie ledwie na kwadrans, dla jakiejś wizyty, która ściągnęła na nią nudne towarzyskie konsekwencje i zaproszenia, zresztą daremne. Zasłoniła się niedomaganiem; co nam nie przeszkodziło przechadzać się codziennie samnasam w najcudniejszej okolicy i pod najcudniejszym niebem w świecie. Och! te trzy dni! nieraz przyszło mi ich żałować; nigdy odtąd nie przeżyłem podobnych!

Miłoścki podrózne kończą się tak, jak się zaczęły. Trzeba się było rozstać, a wyznaję że był czas. Nie iżbym był przesycony lub bliski przesyty, owszem, przywiązywałem się z każdym dniem więcej; ale, mimo całej oględności mej damy, już niewiele mogłem złożyć u jej stóp poza dobrą wolą. Staraliśmy się rozprószyć żale projektami spotkania. Zapadło postanowienie, że, skoro ta kuracja idzie mi na zdrowie, mam się jej jeszcze poddać, i że przyjadę spędzić zimę w Saint-Andiol, pod opieką pani de Larnage. Miałem pobyc w Montpellier pięć lub sześć tygodni, aby jej zostawić czas przygotowania tego spotkania w sposób zapobiegający plotkom. Dała mi obszernie informacje co do wszystkiego co powinienem był wiedzieć, co mówić, w jaki sposób się zachować. Tymczasem, mieliśmy do siebie pisywać. Zachęcała mnie obszernie i poważnie do pielęgnowania zdrowia; upominała abym się udał do najlepszych lekarzy i troskliwie wypełniał wszystko co mi zalecą. Zobowiązała

się przypilnować mnie, kiedy będę bawił u niej, abym wypełniał ich przepisy, choćby najsurowsze. Sądzę, że mówiła szczerze, kochała mnie w istocie; dała mi tego tysiąc dowodów bardziej przekonywających niż sam dar jej osoby. Osądziła z mego wyekwirowania, że nie muszę opływać w zbytki; mimo iż sama nie bogata, chciała mnie przy rozstaniu zmusić, abym z nią podzielił zawartość jej sakiewki, wcale dobrze zaopatrzonej na drogę; z wielkim trudem przyszło mi się obronić. Wreszcie, rozstałem się z nią, z sercem pełnym mej towarzyski, i zostawiając w niej, o ile mi się zdaje, szczerę przywiązanie.

Wlokłem się dalej tą drogą, przeżywając ją na nowo we wspomnieniu, na razie bardzo rad, iż spoczywam w wygodnym wehikule, aby tem swobodniej dumać o rozkoszach jakich zakosztowałem i tych które mi przyrzeczono. Rozmyślałem wciąż o zamku w Saint-Andiol i o uroczem życiu, które mnie tam czeka; widziałem jedynie panią de Larnage i jej otoczenie: reszta świata była niczem dla mnie; o mamusi nawet zapomniałem. Zabawiałem się kombinowaniem wszystkich szczegółów natrąconych przez panią de Larnage, starając się zgóry stworzyć sobie pojęcie o jej mieszkaniu, sąsiedztwie, towarzystwie, o całym sposobie życia. Miała córkę, o której mówiła często z bałwochwalstwem matki. Ta córka miała skończonych piętnaście lat, miała być śliczna, żywa i miła. Pani upewniała mnie, że będę u niej w łaskach: nie zapomniałem tej obietnicy i z wielką ciekawością roilem sobie, w jaki sposób panna de Larnage zachowa się wobec benjaminka swej mamy. Taką była treść moich marzeń od Pont-Saint-Esprit aż do Remoulin.

Polecono mi, abym zwiedził most Gardyjski; nie omieszkalem uczynić tego. Było to pierwsze dzieło Rzymian jakie oglądałem. Spodziewałem się ujrzeć pomnik godny rąk które go wzniosły. Tym razem, przedmiot przeszedł moje oczekiwania; było to jedyny raz w życiu. Tylko Rzymianom dane było sprawić ten skutek. Widok tej prostej i szlachetnej budowli uderzył mnie tem więcej, ile że położona jest w pustkowiu, gdzie milczenie i samotność czynią

sam przedmiot bardziej uderzającym a podziw tem żywszym. Ów rzekomy most był w istocie tylko wodociągiem. Zadawałem sobie pytanie, jaka siła przeniosła kamienie tak olbrzymie z tak daleka od wszelkiego łomu i zgromadziła ręce tylu tysięcy ludzi w miejscu zupełnie bezludnem? Przebiegłem trzy piętra tej wspaniałej budowli, którą, przez szacunek, ledwie śmiałem deptać nogami. Odgłos moich kroków pod temi olbrzymiemi sklepieniami budził we mnie wrażenie, iż słyszę silny głos tych którzy je wzniesli. Gubiłem się jak robak w tym ogromie. Czułem, czyniąc się tak małym, coś nieokreślonego co mi wzbierało w duszy; mówiłem sobie wzdychając: „Czemuż nie urodziłem się Rzymianinem!“ Trwałem tam kilka godzin w zachwyceniu. Wróciłem roztargniony i zadumany, a zaduma ta nie była korzystna dla pani de Larnage. Pamiętała o tem, aby mnie ubezpieczyć przeciw dziewczętom w Montpellier, ale nie przeciw gardyjskiemu mostowi. Niepodobna pamiętać o wszystkim.

W Nimes poszedłem zobaczyć arenę: jestto dzieło o wiele wspanialsze niż most gardyjski, ale uczyniło na mnie o wiele mniejsze wrażenie, czy że podziw mój wyczerpał się na pierwszym przedmiocie, czy że położenie areny w środku miasta mniej było sposobne aby go obudzić. Ta rozległa a wspaniała arena otoczona jest małemi domkami; inne domki, jeszcze mniejsze i szpetniejsze, zapełniają ją, tak iż całość sprawia niejednolite i zmaćone wrażenie, w którym żal i oburzenie dławią przyjemność i podziw. Widziałem, od tego czasu, arenę w Weronie, nieskończenie mniejszą i mniej piękną niż w Nimes, ale utrzymaną i zachowaną z możliwą schludnością i przystojnością, i która, przez to samo, sprawiła na mnie silniejsze i miłsze wrażenie. Francuzi nie dbają o nic i nie szanują żadnego pomnika. Są pełni zapału, gdy chodzi o podjęcie czego, ale nie umieją niczego skończyć ani zachować.

Zmieniłem się do tego stopnia, i zmysłowość moja, raz obudzona, rozwinęła się tak pięknie, iż zatrzymałem się jednego dnia w Pont de Lunel, aby dać folgę memu apetytowi w gospodzie. Go-

spoda ta, najwyżej szacowna ze wszystkich w Europie, zasługiwała na to wyróżnienie. Gospodarze umieli skorzystać z jej szczęśliwego położenia, aby prowadzić kuchnię zaopatrzoną obficie i doborowo. Było to, w istocie, ciekawe, znaleźć w samotnem domostwie we wsi, stół zaopatrzony w rybę morską i rzeczną, w doskonałą dzi-czyznę, przednie wina, obsłużony z owem wyszukaniem i pamięcią jakie znajduje się jedynie u możnych i bogaczy, a wszystko za mar-nych trzydzieści pięć su. Ale Pont de Lunel nie długo wytrzymało na tej stopie, i tak długo żyło swą reputacją, aż straciło ją wkońcu zupełnie.

Zapomniałem w ciągu drogi, że jestem chory; przypomniałem sobie o tem, przybywając do Montpellier. Wapory opuściły mnie, ale wszystkie inne cierpienia zostały; i, chociaż przyzwyczajenie stępiło mą wrażliwość, było tego dosyć, aby przypawić o śmierć z samego przestachu kogoś, na kogo tyle chorób spadłoby odrazu. W rzeczywistości, były one mniej bolesne niż niepokojące i więcej dręczyły umysł niż ciało, któremu zdawały się grozić zniszczeniem. Stąd pochodziło, że, ogarnięty żywą namiętnością, przestałem my-śleć o mym stanie; ale, ponieważ nie był on urojony, odczułem go natychmiast, skoro nieco ochłonąłem. Myślałem tedy poważnie nad radami pani de Larnage i nad celem mej podróży.

Udałem się szukać porady u najznamienszych praktyków, a zwłaszcza u doktora Fizes. Nadomiar ostrożności, umieściłem się u lekarza. Był to Irlandczyk, nazwiskiem Fitz-Moris. Stołował u siebie wielu studentów medycyny; dla chorego, przedstawiało to tę dogodność, że pan Fitz-Moris zadawalał się przyzwoitą pensyjką za życie, a nic nie żądał już od chorych za opiekę lekarską. Podjął się wykonania przepisów pana Fizes i czuwania nad mem zdro-wiem. Wywiązał się z tego bardzo dobrze, przynajmniej co się ty-czy djety; nie było na jego pensji obawy o przeładowanie żołądka. Mimo że nie jestem zbyt wrażliwy na takie braki, porównanie z niedawną przeszłością było tak rażące, że nieraz nie mogłem się wstrzymać w duchu od uwagi, że pan de Torignan był lepszym pro-

wiantmistrzem od pana Fitz-Moris. Mimo to, ponieważ, ostatecznie, nie cierpiało się głodu, a cała ta młoda kompanja była wesola, życie jakie tam pędziłem bardzo mi w istocie posłużyło i nie dało mi popaść w dawne omdlenia. Ranek trawiłem na zażywaniu lekarstw, a zwłaszcza jakichś wód, zdaje mi się Vals, i na pisaniu do pani de Larnage; korespondencja bowiem szła swoim trybem, a pan Rousseau podejmował trud odbierania listów dla swego przyjaciela Duddinga. W południe, spacer z którymś z młodych stołowników, poczciwych i chętnych chłopców. Następnie, obiadowało się wesoło. Po obiedzie zaprzętailiśmy się do wieczora bardzo ważną sprawą; mianowicie, udawaliśmy się za miasto, gdzie, po kilku partjach krykieta, czekał nas podwieczorek. Ja nie grywałem; nie miałem do tego dość siły ani zręczności, ale zakładałem się, i, przejęty swoim zakładem, uganiając za graczami, zażywałem miłego i zbwiennego ruchu, który na mnie znakomicie oddziaływał. Podwieczorek spożywało się w karczemce za miastem. Nie potrzebuję nadmieniać, że podwieczorki te były wesole; ale dodam, iż były niewinne, mimo że dziewczęta w karczmie były wcale niczego. Pan Fitz-Moris, wielki amator krykieta, był naszym przewodniczącym. Naprzekór reputacji jakiej zażywają studenci, mogę powiedzieć, iż, wśród całej tej młodzieży, znalazłem więcej obyczajności i przyzwoitości, niżby można było znaleźć w równie licznej kompanji dorosłych. Byli więcej hałaśliwi niż wyuzdani, bardziej weseli niż rozpustni. Co do mnie, tak łatwo dostrajam się do każdego trybu, o ile jest oparty na swobodzie, że nicbym nie miał przeciw temu, aby ten pobyt trwał wiecznie. Było pomiędzy tymi studentami paru Irlandczyków, od których starałem się nauczyć kilku słów po angielsku, przez wzgląd na pobyt w Saint-Andiol; zbliżał się bowiem czas, że miałem się tam udać. Pani de Larnage nalegała w każdym liście; nie postać mi w myśli być nieposłusznym. Jasnem jest, iż lekarze, którzy nic nie rozumieli z mej choroby, patrzyli na mnie jako na chorego z urojenia i odpowiednio do tego traktowali mnie swoją chininą, wodami i serwatką. Wręcz przeciwnie do teologów,

lekarze i filozofowie przyjmują za prawdziwe tylko to, co mogą wytłumaczyć, a własną zdolność rozumienia czynią miarą możebności. Ci panowie nic nie pojmowali z mojej choroby: *ergo* nie byłem chory: bo jak przypuścić, aby doktorzy nie wiedzieli wszystkiego? Spostrzegalem, iż starają się jeno zabawić mnie i uwolnić od ciężaru zbytnej ilości ludwików; sądząc tedy, że ich zastępca w Saint-Andiol wywiąże się z tego równie dobrze jak oni a o wiele przyjemniej, postanowiłem dać mu pierwszeństwo i opuściłem Montpellier z tem roztropnem postanowieniem.

Wyjechałem z końcem listopada, po sześciu lub ośmiu tygodniach pobytu w tem mieście, gdzie zostawiłem ze dwanaście ludwików bez żadnego pożytku dla zdrowia ani dla nauki, chyba że jako taki policzę kurs anatomji, który zacząłem pod kierunkiem pana Fitz-Moris, i który musiałem przerwać z przyczyny ohydneho zaduchu trupów, dla mnie nie do zniesienia.

Nie będąc w zupełnej zgodzie z samym sobą co do powziętego postanowienia, biłem się z myślami, posuwając się wciąż ku Pont-Saint-Esprit, które leżało po drodze zarówno do Saint-Andiol jak do Chambéri. Wspomnienia mamusi i listy jej, mimo że mniej częste niż listy pani de Larnage, obudziły na nowo w mem sercu wyrzuty, które stłumiłem w czasie mej podróży. W tej powrotnej drodze stały się one tak żywe, że, przeważając instynkt rozkoszy, pozwoliły mi dać ucho głosowi rozsądku. Przedewszystkiem, rola awanturnika na którą się puszczałem, mogła obecnie powieść się mniej szczęśliwie niż za pierwszym razem. Wystarczało, by w całym Saint-Andiol znalazła się jedna osoba która była w Anglii, znała Anglików lub umiała po angielsku, aby mnie zdemaskowano. Rodzina pani de Larnage mogłaby patrzeć na mnie krzywem okiem i czynić mi afronty. Córka, o której, mimowoli, myślałem więcej niżby należało, również była dla mnie przedmiotem niepokoju: drżałem, że mogę się w niej zakochać, a sama ta obawa popychała mnie już ku niebezpieczeństwu. Miałem tedy, w nagrodę względów matki, uwodzić jej córkę, wchodzić w najbardziej naganne

i występne stosunki, wprowadzać waśń, niesławę, zgorszenie i piekło do domu! Ta myśl przejęła mnie grozą; powziąłem niezłomne postanowienie zwyciężenia się i zduszenia tej nieszczęsnej miłości, w razie gdyby się miała obudzić. Ale poco narażać się na taką walkę! Cóż za nędzne istnienie: żyć z matką, którą byłbym przesycony, a pałać uczuciem do córki, nie śmiejąc go jej okazać! Pocóż gonić za tem szaleństwem, poco się wystawiać na nieszczęścia, afronty, wyrzuty, dla rozkoszy, których największy urok wyczerpałem zgóry? to pewna bowiem, iż skłonność moja nie zachowała już pierwszej żywości; chętką rozkoszy przetrwała jeszcze, ale namiętność uleciała. Do tego mieszały się refleksje przypominające mi moje położenie, obowiązki, mamusię tak dobrą, tak bezinteresowną, która, mimo iż przygnieciona długami, rujnowała się jeszcze dla mych wydatków, krwi sobie utaczała dla mnie, a ja ją zdradzałem tak niegodnie! Wyrzut ten stał się tak żywy, iż wreszcie odniósł zwycięstwo. Zbliżając się do Saint-Esprit, postanowiłem minąć Saint-Andiol i ruszyć prosto. Wypełniłem to mężnie, nie bez paru westchnień, przyznając, ale zarazem z tem wewnętrznym zadowoleniem, odczuwanem po raz pierwszy w życiu, iż mogłem sobie powiedzieć: zasłużyłem na własny szacunek, umiałem obowiązkowi dać pierwszeństwo przed rozkoszą. Oto pierwsza prawdziwa zdobycz, którą zawdzięczam nauce: ona to nauczyła mnie zastanawiać się, porównywać. W obliczu zasad tak czystych, które przyswoiłem sobie świeżo, w obliczu prawideł roztropności i cnoty, które sobie postawiłem i z których czułem się tak dumny, wstyd zdradzenia samego siebie, sprzeniewierzenia się tak jaskrawo własnym zasadom, przeważył pokusę. Może ambicja odgrywała w mem postanowieniu takąż rolę co cnota; ale, jeśli ta ambicja nie jest samą cnotą, skutki jej są tak podobne, że omyłka jest do wybaczenia.

Jedną z korzyści dobrych uczynków jest to, iż podnoszą one duszę i zachęcają ją do wspinania się na szczyble dalszej doskonałości. Tak wielką jest słabość ludzka, iż samo wstrzymanie się od złego mamy prawo liczyć do dobrych uczynków. Skoro tylko po-

wziąłem owo zbawienne postanowienie, stałem się innym człowiekiem, albo raczej stałem się znowu tym, którym byłem wprzód, a który zatracił się przez chwilę odurzenia. Pełen dobrych uczuć i postanowień, wędrowałem dalej tą drogą w najlepszych intencjach okupienia błędu, pragnąc odtąd budować życie jedynie na cnocie, poświęcić się bez zastrzeżeń w służbach najlepszej z matek, zachować jej tyleż wierności ile miałem dla niej przywiązania, i głuchym być na głos miłości innej niż miłość obowiązku. Niestety! ten tak szczerzy powrót do dobrego zdawał się znaczyć mi inną dolę: ale snąc była ona zapisana już i rozpoczęta; i kiedy serce moje, pełne uczucia dla rzeczy dobrych i zacnych, chciało widzieć w życiu samą jeno niewinność i szczęście, właśnie zbliżałem się do złowrogiego momentu, którego następstwem miał być długi łańcuch moich niedoli.

Chęć rychłego przybycia na miejsce sprawiła, iż wędrowałem większymi etapami niż zrazu myślałem. Z Valence oznajmiłem mamusi dzień i godzinę. Zyskawszy pół dnia na mym rachunku, przeczekałem ten czas w Chaparillon, aby przybyć ściśle tak jak zapowiedziałem. Chciałem skosztować w całej słodczy uroku powitania. Woląłem raczej opóźnić tę chwilę, aby, w zamian, spotęgować jej rozkosz świadomością, iż jestem oczekiwany. Zwykle, wychodziło mi to tylko na korzyść. Zawsze dotąd każdy mój powrót był prawdziwym świętem: i tym razem spodziewałem się tego; a wylewy radości drogiej mamusi, na które byłem tak czuły, warte były, aby na nie trochę poczekać.

Przybyłem tedy dokładnie w oznaczonej godzinie. Zdaleka wyglądałem, czy nie ujrzę jej na drodze; serce biło mi coraz mocniej w miarę jak się zbliżałem. Przybiegam zdyszany, pojazd bowiem zostawiłem w mieście: nie widzę nikogo na dziedzińcu, w bramie, w oknie; zaczynam się mięszać, lękam się jakiegoś wypadku. Wchodzę; wszędzie spokój: czeladź siedzi przy podwieczorku w kuchni; zresztą żadnych przygotowań. Służąca wydaje się zdziwiona moim widokiem; nie wiedziała, że mam wrócić. Wchodzę na górę, widzę

wreszcie tę drogę mamusię, tak czule, tak żywo, tak czysto ukochaną; przybiegam, rzucam się do jej stóp. „Ach, jesteś, mały, rzekła ściskając mnie; dobrą miałaś drogę? jak się miewasz?“ To przyjęcie zmieszało mnie trochę. Spytałem, czy otrzymała list. Odpowiedziała twierdząco. „Byłbym mniemał, że nie“, odparłem; i na tem skończyły się wyjaśnienia. W pokoju jej znajdował się młody człowiek. Znałem go, przed wyjazdem widywałem go czasem w domu; ale, tym razem, wydawał się zakwaterowany na dobre; jakoż i tak było. Krótko mówiąc, zastałem miejsce zajęte.

Ten młody człowiek pochodził z Vaud; ojciec jego, nazwiskiem Vintzenried, był odźwiernym, lub, jak się sam nazywał, kapitanem zamku Chillon. Syn pana kapitana był czeladnikiem fryzjerskim, i w tym charakterze wędrował po świecie gdy się przedstawił pani de Warens, która przyjęła go życzliwie, jak wszystkich podróżnych, zwłaszcza z jej stron. Był to rosły blondyn o mdłej powierzchowności, dość dobrze zbudowany, o płaskiej twarzy i równie płaskiej duszy. Wysławiał się pretensjonalnie, mieszając w rozmowie wszystkie tony, wszystkie nawyczki swego rzemiosła z długim wliczaniem sercowych podbojów. Z chwalebłą dyskrecją wymieniał jedynie połowę margrabin z którymi dzielił łóżko, twierdząc wszelako, iż nie zdarzyło mu się trefić głowy pięknej kobiecie, aby nie utrefił również i głowy męża parą rogów; słowem próżny, głupi, ignorant, bezczelny; *pozatem, najlepszy chłopak w świecie!* Taki był zastępca, którego znaleziono w czasie mej nieobecności, a współpracownik, jakiego mi ofiarowano za powrotem.

Och! jeśli dusze uwolnione od ziemskiej powłoki widzą jeszcze, z łona wiekuistej światłości, to co się dzieje wśród nas śmiertelnych, przebac mi, drogi i czcigodny cieniu, że nie więcej oszczędzam twoje błędy niż swoje własne; że zarówno jedne jak i drugie odsłaniam oczom czytelnika. Powinienem, chcę być szczerym za ciebie, jak za siebie samego: stracisz na tem z pewnością o wiele mniej odemnie. Ach, ileż razy twój miły i słodki charakter, niewyczerpana dobroć serca, twoja szczerłość i wszystkie twe wyborne

cnoty, ileż razy okupują one twe słabości, jeśli można tak nazwać zbląkania, płynące wyłącznie z omyłki rozumu! Byłaś podległa błędowi, ale nie przywarom; postępowanie twoje było naganne, ale serce zostało zawsze czyste.

Nowy przybysz okazał się gorliwy, pilny, dokładny w drobnych zleceniach, których było zawsze mnóstwo; stał się energicznym naganiaczem czeladzi. Był równie hałaśliwy, jak ja byłem cichy; widać go było a zwłaszcza słycać wszędzie naraz; przy orce, przy sianie, w lesie, w stajni, na dziedzińcu. Ogród jedynie zamieczywał, była to praca zbyt spokojna i nie dawała sposobności do hałasu. Jego największa przyjemność to było orać, ładować, piłować lub rąbać drzewo; wciąż się go widziało z siekierą lub motyką w dłoni. Słycać go było, jak biega, rąbie, krzyczy na całe gardło. Nie wiem za ilu ludzi odwalał robotę, ale wrzasku robił za dziecięciu. Cały ten rozgardjasz imponował biednej mamusi; zdawało się jej, że ten młokos będzie opatrnością dla interesów. Chcąc go przywiązać do domu, użyła wszelkich środków które się jej wydały sposobne, i nie pominęła tego, na który zawsze liczyła najbardziej.

Sądzę, iż czytelnik poznał moje serce, jego najstarsze, najszersze uczucia, te zwłaszcza, które mnie w tej chwili sprowadzają do niej. Cóż za nagły i zupełny przewrót w całej mej istocie! trzeba się postawić na mem miejscu, aby to ocenić. W jednej chwili, uczulem, jak na zawsze rozwiewa się szczęśliwa przyszłość, którą roiłem. Słodkie myśli, które pieściłem tak tkliwie, pierzchły. Ja, który, od dzieciństwa, nie byłem zdolny wyobrazić sobie egzystencji inaczej jak tylko z nią, ujrzałem się sam po raz pierwszy w życiu. Ta chwila była straszna: te, które nastąpiły, jeszcze posępniejsze. Byłem jeszcze latami młody, ale te słodkie uczucia radości i nadziei które ożywiają młodość na zawsze mnie opuściły. Od tej chwili, istota czująca nawpół obumarła we mnie. Widziałem przed sobą jedynie smutne resztki życia bez wartości i celu; jeśli niekiedy jeszcze obraz szczęścia poigrał z memi pragnieniami, szczęście

to nie było tem, które dla mnie było stworzone; czulem, iż, zdobywszy je nawet, nie byłbym naprawdę szczęśliwy.

Byłem tak głupi i pełen ufności, że, mimo bezceremonjalnego tonu przybysza (ton ten uważałem jedynie za wynik swobody mamusi, która całe swe otoczenie stawiała na bliskiej stopie), nie przyszłoby mi na myśl domyślać się prawdziwych tego podstaw, gdyby ona sama nie objaśniła mnie w tej mierze. Uczyniła to bardzo skwapliwie, ze szczerością, zdolną, zaiste, podsycić mą wściekłość, gdyby me uczucia zwróciły się w tym kierunku. Co do niej, przedstawiła to jako rzecz całkiem prostą, wyrzucając mi niedbanie o dom i wymawiając częste wyjazdy, jakgdyby temperament jej w istocie zdolny był odczuć te zaniedbania!

„Ach! mamusiu, rzekłem z sercem ściśniętem boleścią, jakiejż wiadomości ważysz się mi udzielić! cóż za nagroda mego przywiązania! Czyż poto tyle razy ocaliłaś mi życie, aby mi odjąć wszystko, co mi je czyniło drogiem? Umrę z tego, ale będziesz mnie żałować“. Odpowiedziała tonem, którego spokój mógł mnie doprowadzić do szaleństwa, że jestem dziecko, że nie umiera się z takich rzeczy; że nic na tem nie tracę; że, mimo wszystko, pozostaniemy tak samo dobrymi przyjaciółmi i tak samo blisko w każdym rozumieniu; że jej tkliwość dla mnie nie może się zmniejszyć ani skończyć, chyba z nią samą. Słowem, dała mi do zrozumienia, że wszystkie me prawa zostaną te same, i że, jakkolwiek dzieląc je z drugim, nie będę w nich pokrzywdzony.

Nigdy czystość, szczerość, siła mych uczuć dla niej, nigdy prostota, uczciwość mej duszy, nie objawiły mi się lepiej niż w tej chwili. Rzuciłem się jej do stóp, obejmowałem kolana, wylewając potoki łez. „Nie, mamusiu, rzekłem z uniesieniem, nadto cię kocham aby cię pokalać. Posiadanie ciebie jest mi zbyt drogie, bym się mógł niem dzielić. Zbyt wiele wycierpiałem wówczas gdy je zdobyłem, a drażliwość moja wzrosła wraz z miłością; nie, nie chcę, nie mogę zachować tego szczęścia za tę samą cenę. Zawsze

będiesz przedmiotem mego ubóstwienia; zostań go zawsze godną; bardziej jeszcze potrzebuję czcić ciebie niż posiadać. Tobie samej, mamusi, ustępuję cię; dla związku naszych serc poświęcam wszystkie rozkosze. Obym raczej zginął tysiąc razy, niżbym miał ich kosztować poniżając tę, którą kocham!”

Dotrzymałem tego postanowienia ze stałością, godną, śmiem powiedzieć, uczucia, które je natchnęło. Od tej chwili, miałem dla ukochanej mamusi jedynie oczy prawdziwego syna. Pośpieszam do, dać, że, mimo iż moje postanowienie nie zyskało jej uznania, jak się o tem aż nadto przekonałem, nigdy, dla odwrócenia mnie od niego, nie uciekła się ani do zalotnych słówek, ani pieszczot, ani do żadnej z owych sztuczek, które kobiety, bez narażania swej godności, zawsze mają na zawołanie i które rzadko chybiają celu. Zmuszony szukać doli niezależnej od niej, a nie mogąc jej sobie nawet wyobrazić, popadłem niebawem w przeciwną ostateczność, i szukałem wszystkiego w niej! Szukałem tak doskonale, że niemal zupełnie zapomniałem siebie. Gorące pragnienie oglądania jej szczęśliwą za jakąbądź cenę, pochłaniało wszystkie me uczucia: próżno odłączyła swoje szczęście od mego, ja, naprzekór jej, uważałem jej szczęście za własne.

Tak zaczęły kielkować, wraz z nieszczęściami, cnoty, których siew spoczywał zdawna w mej duszy, które nauka wyhodowała i które, aby zakwitnąć, czekały jedynie zaczynu przeciwności.

Pierwszym owocem tego tak bezinteresownego zwycięstwa nad sobą, było usunięcie z serca wszelkiej nienawiści i zazdrości względem intruza. Chciałem, przeciwnie, i szczerze chciałem, pokochać tego młodzieńca, kształcić go, pracować nad jego wychowaniem, dać mu zrozumieć jego szczęście, sprawić, jeśli możebna, aby się go stał godnym: słowem, stać się dlań tem, czem był Anet dla mnie w podobnych okolicznościach. Ale, po obu stronach, natury były zbyt różne. Posiadając więcej łagodności i wykształcenia, nie miałem powagi i stanowczości Aneta, ani tej siły charakteru, która imponowała i która byłaby tu potrzebna. Jeszcze więcej brakło

temu młodemu człowiekowi przymiotów, które Anet znalazł we mnie: posłuszeństwa, przywiązania, wdzięczności, a zwłaszcza dobrej woli i gorącej chęci aby te starania wyszły na pożytek. Wszystkiego tego nie stało tutaj. Ten, którego chciałem kształcić, widział we mnie jedynie natrętnego nudziarza, a w słowach mych puste brzęczenie. Przeciwnie, przejęty podziwem dla samego siebie, miał się za ważną figurę w domu, i mierząc swe rzekome usługi hałasem jaki przy nich robił, uważał swe motyki i łopaty jako coś nieskończenie użyteczniejszego od moich szpargałów. Pod pewnym względem mógł mieć słuszność: ale, wychodząc z tego założenia, przybierał tony takie, że można było umrzeć ze śmiechu. Wobec chłopów odgrywał rolę pana, niebawem zaczął toż samo ze mną, wkońcu z mamusią. Ponieważ nazwisko Vintzenried wydawało mu się niedość szlachetne, porzucił je, przybierając miano *pana de Courtilles*; pod tem nazwiskiem znany był później w Chambéri i w Maurienne, gdzie się ożenił.

Wreszcie tyle dokazała ta znamienita osoba, że on stał się w domu wszystkim, a ja niczem. Co gorsze, kiedy miałem nieszczęście w czemś mu nie przypaść do smaku, nie mnie łajał ale mamusię; z obawy tedy narażenia jej na tę brutalność, byłem powolny wszystkiemu czego żądał. Za każdym razem kiedy rąbał drzewo — czynność którą spełniał z nieopisaną dumą — musiałem znajdować się przy tem jako bezczynny widz i admirator jego dzielności. Nie był to zresztą zły chłopak: był przywiązany do mamusi, bo niepodobna było nie przywiązać się do niej; i do mnie nie miał niechęci. Kiedy pauza w przejawach jego żywotności pozwoliła doń mówić, słuchał nas niekiedy dość potulnie, przyznając szczerze, że jest tylko cymbałem: co mu nie przeszkadzało popadać wnet w nowe ekstrawagancje. Zresztą, inteligencja jego była tak ograniczona a skłonności tak poziome, że trudno było przemówić mu do rozsądku, a prawie niepodobna znajdować przyjemność w jego towarzystwie. Do posiadania kobiety pełnej uroku dodał, jako zaprawę, miłości ze starą, rudą i bezzębną służącą, której wstrętne usługi

mamusia zносиła nadal cierpliwie, mimo że ją to przyprawiało o mdłości. Spostrzegłem ten nowy wybryk i nie posiadałem się z oburzenia; ale spostrzegłem i inną rzecz, równie nieoczekiwaną, która przejęła mnie o wiele żywiej i wtrąciła w daleko większe zniechęcenie niż wszystko: mianowicie ochłodzenie mamusi dla mnie.

Wyrzeczenie, które sobie nakazałem i które, zdawaćby się mogło, zyskało jej uznanie, jest jedną z rzeczy, których kobiety, w głębi serca, nie przebaczą nigdy; nietyle dla własnego uszczerbku, ile stąd, że widzą w tem obojętność na ich wdzięki. Weźcie kobietę najrozsądniejszą, najbardziej zdolną do filozoficznego myślenia, najmniej zmyslową z natury; otóż, najtrudniejszą do odpuszczenia zbrodnią, jakiej mężczyzna, choćby najobojętniejszy, może się względem niej dopuścić, jest móc ją posiadać a nie skorzystać z tego. Musi widocznie to prawo nie dopuszczać wyjątków, skoro tak naturalna i mocna sympatja mogła osłabnąć wskutek powściągliwości, czerpiącej pobudki w cnocie, przywiązaniu i szacunku. Odtąd, przestałem znajdować w mamusi owe łube powinowactwo, które stanowiło zawsze najslodszą radość mego serca. Wynurzała się przedemną jedynie wtedy, kiedy chciała się użalić na nowego kochanka: gdy byli dobrze z sobą, niewiele zostawało dla mnie miejsca. Słowem, przybrała stopniowo tryb życia, w którym ja nie miałem udziału. Obecność moja robiła jej jeszcze przyjemność, ale nie była potrzebna; mógłbym nie pokazywać się dnie całe, ledwieby to zauważała.

Nieznacznie, uczulem się odosobniony i samotny w tym domu, którego wprzód byłem duszą i w którym żyłem niejako zdwojonem życiem. Przyzwyczailem się powoli oddzielać od wszystkiego co się tam działo, od tych nawet którzy go zamieszkiwali. Aby sobie oszczędzić ciągłego bólu, zamykałem się z książkami, albo szedłem swobodnie wzdychać i płakać w leśnem ustroniu. Życie to stało mi się niebawem nie do zniesienia. Uczulem, iż obecność realna a odalenie uczuciowe kobiety, która mi była tak drogą, zbyt drażni

mą boleść, i że, straciwszy ją z oczu, mniej będę czuł okrucieństwo rozdziału. Postanowiłem opuścić dom. Zwierzyłem się z tem matusi; nietylko się nie sprzeciwiła, ale pochwaliła zamiar. Miała w Grenobli przyjaciółkę, panią Deybens, której mąż był przyjacielem pana de Mably, Wielkiego profosa Ljonu. Pan Deybens zaproponował mi zajęcie się wychowaniem dzieci pana de Mably; przyjąłem i pojechałem do Ljonu, nie zostawiając za sobą, ani prawie nie odczuwając, najmniejszego żalu z powodu rozłąki, o której wprzód sama myśl byłaby dla nas śmiertelną męczarnią.

Posiadałem, w przybliżeniu, wiadomości potrzebne do funkcji preceptora, a sądziłem że mam i talent potemu. W ciągu roku, który przebyłem u pana de Mably, miałem czas pozbyć się złudzeń. Łagodność mego charakteru dobrze godziłaby się z tym zawodem, gdyby nie przerywały jej burzliwe wybuchy. Póki wszystko szło dobrze i póki widziałem owoce starań i trudów, których wówczas nie szczydziłem, byłem aniołem; ale stawałem się djablem, skoro rzeczy szły na opak. Kiedy uczniowie nie pojmowali mnie, szalałem; kiedy platali mi figle, byłbym ich zabił: nie był to sposób napojenia ich umysłów rozsądkiem i wiedzą. Uczniów miałem dwóch, a usposobienia ich były bardzo różne. Jeden, ośmio- czy dziesięcioletni, nazwiskiem Sainte-Marie, był to ładny chłopiec, dość bystry, żywy, roztrzepany, psotny, złośliwy, ale złośliwością wesołą. Młodszy, Condillac, zdawał się prawie tępy, roztargniony, uparty jak muł i niezdolny cośkolwiek pojąć. Można sobie wyobrazić, że, przy takich dwóch uczniach, życie nie było łatwe. Przy cierpliwości i zimnej krwi, byłbym może sobie dał radę; ale, nie posiadając tych cnót, nie umiałem dojść do niczego i postępy mych uczniów przedstawiały się bardzo smutno. Nie brakło mi cierpliwości, ale brakło równowagi, a zwłaszcza taktu. Pedagogja moja zażywała jedynie trzech instrumentów, zawsze nieużytecznych a często zgubnych wobec dzieci: uczucia, rozumowania i gniewu. To roztkliwiałem się ze starszym aż do łez, pragnąc i jego rozczulić, tak jakby dziecko było zdolne do prawdziwego wzruszenia: to sililem się przemówić

mu do rozsądku, tak jakby mnie mógł zrozumieć; a ponieważ nie raz przeciwstawiał mi argumenty bardzo subtelne, brałem tę zdolność rezonowania za objaw rozumu. Drugi malec sprawiał mi jeszcze więcej kłopotu, ponieważ, nic nie rozumiejąc, nie odpowiadając, nie przejmując się niczem i okazując bezgraniczny upór, święcił nademną prawdziwe tryumfy, skoro mu się udało doprowadzić mnie do wściekłości; wówczas on był rozumną istotą, a ja dzieckiem. Widziałem swoje błędy, czułem je; studjowałem charakter mych uczniów, przejrzałem go bardzo dobrze, i sądzę że nigdy nie dałem się oszukać ich sztuczkom. Ale na co mi się zdało widzieć zło, skorom nie umiał znaleźć lekarstwa? Przenikając wszystko, nie zapobiegałem niczemu, nie dochodziłem do niczego, i postępowałem właśnie tak, jak nie było trzeba.

Równie licho jak osobami uczniów pokierowałem i własną osobą. Pani Deybens poleciła mnie osobiwie względem pani de Mably. Prosiła ją, aby się zechciała zająć ukształtowaniem mych manier i nadaniem mi światowego poloru. Pani de Mably próbowała mnie nieco w tym kierunku i chciała bym się nauczył robić honory domu; ale zabrałem się do tego tak niezręcznie, byłem tak nieśmiały, tak niezdarny, że zraziła się i przestała się mną zajmować. To nie przeszkodziło mi, moim zwyczajem, zakochać się w niej. Robiłem co mogłem aby to spostrzegła, ale nie chciałem się puścić na jawne wyznanie. Nie okazała żadnej ochoty dopomoczenia mi; musiałem się ograniczyć do zerkań i westchnień, które sprzykrzyłem sobie zresztą rychło, widząc że do niczego nie prowadzą.

Straciłem zupełnie u mamusi dawny nawyk do łasowania; ponieważ wszystko było moje, nie potrzebowałem niczego ściągać. Zresztą, podniosłe zasady jakie sobie wyrobiłem, winny były mnie odtąd uczynić wyższym nad takie podłości. W istocie, zazwyczaj tak bywało: ale nietylę dlatego, bym się nauczył zwyciężać pokusy, jeno że podciąłem w sobie ich korzeń; i bardzobym się lękał, czybym nie zaczął znów kraść jak w młodości, gdybym podlegał tym

wsamym pragnieniom. Miałem tego dowód u pana de Mably. Otoczony mnóstwem rzeczy „ściągalnych“, na które nawet nie zwracałem uwagi, zapalałem skłonnością do pewnego gatunku białego wina, nader smakowitego, którego parę kieliszków, pokosztowanych przy stole, obudziły we mnie wielką ochotę dalszej z niem znajomości. Było trochę mętne; miałem ambicję, że umiem dobrze klarować wino: pochwaliłem się tą sztuką i powierzono mi to zadanie. Sposobność skusila mnie, iż, od czasu do czasu, zatajałem parę buteleczek, aby je rozkosznie sączyć w spokojnem zaciszu. Na nieszczęście, nigdy nie umiałem pić bez jedzenia. Skąd tu wydostać chleba? Niepodobna było postarać się o to w domu. Kupować przez lokaja, to znaczyło zdradzić się i niemal wyrządzić zniewagę gospodarzom. Kupić samemu, nie odważyłbym się nigdy. Czyż można sobie wyobrazić, aby piękny pan, ze szpadą przy boku, wchodził do piekarza po kawałek chleba? Wreszcie, przypomniałem sobie sposób pewnej księżniczki, która, usłyszawszy skargi iż chłopie mają chleba, odpowiedziała: „Czemuż nie jedzą biskoptów?“ A i ta zdobycz, ileż kosztowała mnie trudu! Wybierałem się sam z domu, przebiegałem całe miasto, mijałem trzydziestu cukierników, nim wstąpiłem wreszcie do jednego. Jedynie wówczas gdy sprawdziłem iż w sklepie znajduje się nie więcej niż jedna osoba i to o fizjognomji budzącej szczególne zaufanie, odważałem się przestąpić próg. Ale zato, kiedy już miałem szacowne biskopty i kiedy, zamknąwszy się w pokoju, wydobylem butelkę ukrytą w szafie, z jakąż rozkoszą popijałem w samotności, czytając przytem parę stronic jakiego romansu! Czytać przy jedzeniu, to była zawsze moja namiętność w braku milego sam-na-sam: to surogat towarzystwa, którego mi brakuje. Pochłaniam kolejno stronicę i kasek: to tak, jakgdyby książka dzieliła ze mną posiłek.

Nigdy nie byłem rozpustnikiem ani opojem; nie upilem się ani razu w życiu: dlatego kradzieże moje nie dochodziły znaczniejszych rozmiarów. Mimo to, wyszły na jaw; butelki zdradziły mnie. Nie okazano mi tego, ale, pod jakimś pozorem, odebrano mi opiekę

nad piwnicą. W całej tej sprawie, pan de Mably postąpił sobie bardzo rozumnie i taktownie. Był to bardzo godny człowiek, który, pod wyglądem równie twardym jak jego urząd, posiadał prawdziwą słodycz charakteru i rzadką dobroć serca. Był sprawiedliwy, wyrozumiały, czegoby się nie oczekiwało po urzędniku żandarmerji, nawet wyjątkowo ludzkim. Odczuwając jego pobłażliwość, przywiązałem się doń tem więcej, i to sprawiło, że przeciągnąłem pobyt w jego domu dłużej niżbym to zdołał uczynić w innym wypadku. Ale, wkońcu, zmierzony zawodem, w którym czulem się nie na swoim miejscu, oraz sytuacją bardzo dla mnie kłopotliwą i nieprzyjemną, po roku próby, w ciągu której nie oszczędzałem bynajmniej starań, postanowiłem rzucić swych uczniów, przekonany iż nigdy nie potrafiłbym dobrze ich wychować. Sam pan de Mably widział to równie dobrze jak ja. Mimo to, sądzę iż nigdy nie zdobyłby się na to aby mnie odprawić, gdybym mu nie oszczędził tej przykrości: słabość, posunięta, mem zdaniem, w tym wypadku o wiele za daleko.

Sytuację moją czyniło tem przykrzejszą nieustanne porównywanie jej z życiem, które porzuciłem niedawno: wspomnienie drogiej Charmettes, mego ogrodu, moich drzew, źródła, sadu, a zwłaszcza tej dla której byłem zrodzony, która ożywiała duszą to wszystko! Ilekroć wspomniałem o niej, o naszych uciechach, o naszym niewinnem życiu, uczuwałem ściskanie serca, duszność która odejmowała mi siły do pracy. Sto razy doznawałem pokusy aby rzucić wszystko i natychmiast, bodaj pieszo, pobiec do niej. Byle ją ujrzeć jeszcze raz, zgodziłbym się z radością umrzeć w tej chwili. Wkońcu, nie mogłem się oprzeć tkliwym wspomnieniom, które wołały mnie do niej wbrew wszystkiemu. Mówiłem sobie, że nie byłem dość cierpliwy, dość miły, serdeczny, że, dokładając więcej starań, mogłem jeszcze żyć szczęśliwie przy niej w słodyczach przyjaźni. Słowem, układałem sobie najpiękniejsze projekty, płonę niecierpliwością aby je wykonać. Rzucam wszystko, zrzekam się wszystkiego, jadę, pędzę, przybywam w pełni wkrzeszonych uniesień młodości,

i znajduję się u jej stóp. Ach! byłbym umarł z radości, gdybym w jej przyjęciu, pieśczętach, słowem w jej sercu, odnalazł bodaj ćwierć tego, co znajdowałem dawniej i co sam przynosiłem jeszcze!

Straszliwe złudzenia rzeczy ludzkich! Przyjęła mnie zawsze ze swoim złotem sercem, które mogło umrzeć aż z nią razem; ale ja przybiegłem szukać przeszłości, której już nie było i która nie mogła wskrzesnąć. Ledwie pobylem z mamusią pół godziny, uczulem, że dawne szczęście umarło na zawsze. Znalazłem się w tej samej oplakanej sytuacji, przed którą trzeba mi było uciekać, i to bez możności przypisania komukolwiek winy; w gruncie bowiem Courtilles był niezły chłopak i zdawał się raczej ucieszony niż zmartwiony mem przybyciem. Ale jak znieść uczucie, że jestem czemś nadliczbowem u tej, dla której byłem wszystkim i na którą nie umiałem patrzeć inaczej niż na moje wszystko? Jak żyć jako obcy w tym domu, którego byłem dzieckiem? Widok przedmiotów będących świadkami minionego szczęścia czynił mi porównanie tem okrutniejszym. Byłbym mniej cierpiał w innem mieszkaniu. Ale musieć sobie nieustannie przywozić na pamięć tyle wspomnień, znaczyło wciąż na nowo jątrzyć poczucie straty. Trawiony próżnym żalem, wydany najczarniejszej melancholji, znów jak wprzódę pędziłem dni w samotności, poza godzinami posiłku. Zamknięty z memi książkami, szukałem w nich użytecznej rozrywki; czując bliżej niebezpieczeństwo którego tyle się dawniej obawiałem, dokładałem wysiłków, aby w sobie znaleźć środki zaradzenia mu, wówczas gdy mamusi ich już zbraknie. Postawiłem tryb domu na tej stopie, iż mógł iść tą koleją ze względnem bezpieczeństwem; ale, od tego czasu, wszystko się zmieniło. Nowy rządcą był to człowiek bardzo nierządny. Chciał przedewszystkiem błyszczeć; dobry konik, wykwiłtne ubranko, to były dla niego rzeczy główne; lubił olśniewać sąsiadów; wciąż rzucał się w nowe przedsięwzięcia, w zakresie o którym nie miał pojęcia. Pensję zjadało się zgóry; parę kwartałów było zastawionych, czynsz nie opłacony, a długi rosły. Przewidywałem, iż pensję, prędzej czy później, mogą zająć, a nawet

skasować. Słowem, widziałem samą ruinę i klęski, a chwila zdawała mi się tak bliska, że odczuwałem już naprzód wszystkie jej okropności.

Mój drogi gabinet był mi jedyną pociechą. Dotąd szukałem w nim lekarstwa na zamęt duszy, obecnie postanowiłem go szukać na nieszczęścia które przewidywałem. I oto, wracając do dawnych pomysłów, zacząłem budować zamki na lodzie, aby wydobyć biedną mamusię z okrutnych nieszczęść, których widziałem ją tak bliską. Nie czułem się dość uczony i nie przypisywałem sobie dość talentu, aby zabłysnąć w rzeczpospolitej literatury i zrobić karierę na tej drodze. Ale przyszła mi nowa myśl i natchnęła mnie tą ufnością w siebie, której średnia miara mych talentów nie mogła we mnie obudzić. Mimo iż zaprzestałem uczyć muzyki, nie zaniedbałem jej sam; przeciwnie, posunąłem się w nauce teorji dość daleko, aby się móc uważać za majstra w tym dziale. Odczuwając nieraz dotkliwie mozół z jakim mi przychodziło czytać nuty i jaki sprawia mi jeszcze dziś czytanie ich *a vista*, wpadłem na myśl, że trudności te mogą wynikać nietylko z mej niezdatności ale i z samego przedmiotu; zwłaszcza, że wiedziałem, iż nauka teorji muzyki nikomu nie przychodzi z łatwością. Zastanawiając się nad rodzajami znaków, nieraz znajdowałem iż są źle skombinowane. Oddawna już nosiłem się z zamiarem notowania skali nutowej zapomocą cyfr, a to aby sobie oszczędzić kreślenia linii i taktów dla zanotowania łada melodji. Natrafiałem w tem na trudności wynikające z oktav, jak również z miary i wartości. Ta dawna idea odżyła mi w mózgu. Zagłębiwszy się w tem na nowo, doszedłem, że trudności są do przewyciężenia. Zacząłem sobie łamać głowę, i z dobrym skutkiem; doszedłem do tego, iż, zapomocą swoich znaków, mogłem zanotować z łatwością każdą melodję. Od tej chwili, uwierzyłem święcie, że fortuna moja jest pewna, i, w niecierpliwości podzielenia jej z tą której winien byłem wszystko, myślałem tylko o tem, aby jechać do Paryża. Nie wątpiłem, iż, przedłożywszy Akademji mój projekt, uczynię tam rewolucję. Przywiozłem z Lyonu nieco

pieniędzy, sprzedałem książki. W dwa tygodnie, powziąłem i wykonałem postanowienie. Wreszcie, pełen wspaniałych pomysłów, zawsze taki sam we wszystkich czasach i okolicznościach, wyruszyłem z Sabaudji ze swoim systemem muzycznym, jak niegdyś z Turynu z ową sławną fontanną Herona.

Takie były błędy i przewiny mej młodości. Opowiedziałem ich dzieje z wiernością, dającą pełne zadowolenie memu sercu. Jeśli, w dalszym ciągu, wiek mój dojrzały błysnął niejakiemi cnotami, zamiarem moim było skreślić je równie szczerze. Ale trzeba mi za-trzymać się tutaj. Czas może zdjąć wiele zasłon. Jeśli pamięć moja przejdzie do potomności, może potomność dowie się kiedyś tego, co miałem do powiedzenia. Wówczas, stanie się zrozumiałe, czemu milczę.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ

